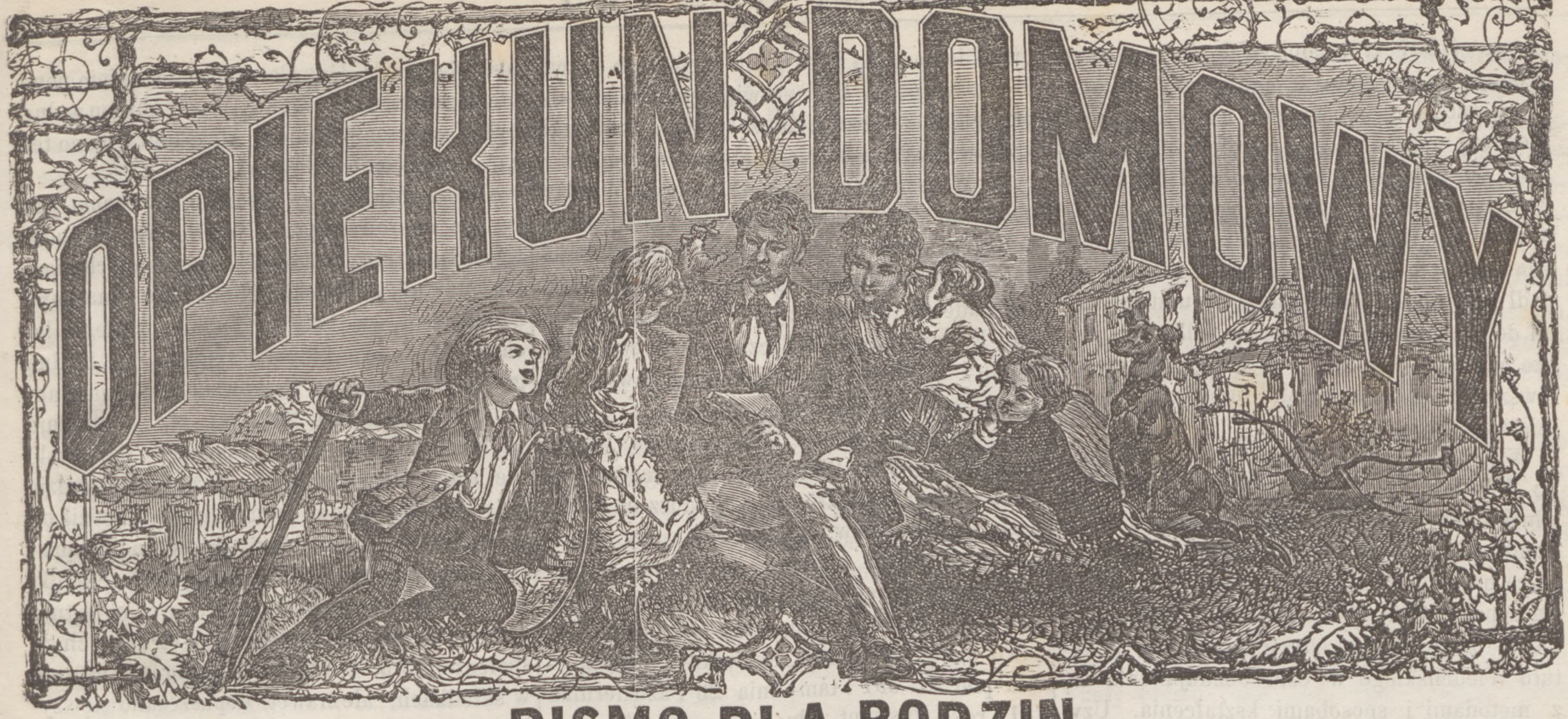


PISMO DLA RODZIN.

№ 18. Warszawa, dnia 24 Kwietnia (6 Maja) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W arszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT

NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Ks. Jakób Falkowski

Założyciel i pierwszy Rektor Instytutu Głuchoniemych w Warszawie.

Warszawski Instytut Głuch. i Ociem. chcąc uczcić cnoty i zasługi swego pierwszego Rektora, obchodził w zeszłą Niedzielę 100-letnią rocznicę jego urodzin.

Praca dla dobra ogółu podjęta, winna znaleźć uznanie ogólne—z tego więc powodu rys życia Ks. Falkowskiego wraz z jego wizerunkiem czytelnikom naszym podajemy.

Urodził się Falkowski w dawnem Województwie Podlaskiem, we wsi Budlewie, w okolicach Białegostoku, z poczciwych ale podupadłych materyjalnie rodziców. Elementarne wykształcenie otrzymał u Ks. Misyjonarzy w Siemiatyczach a następnie oddanym został do szkół Pijarskich w Drohiczynie, które z prawdziwym pożytkiem w r. 1792 ukończył.

Oblókłszy sukienkę duchowną, uczył się jeszcze przez 4-ry lata w zakonie Pijarskim, skąd powołany został do pełnienia obowiązków profesora szkoły Szczuczyńskiej.



Ks. Jakób Falkowski

Założyciel i pierwszy Rektor Instytutu Głuchoniemych w Warszawie.

W r. 1800 otrzymał święcenia kapłańskie w Pułtusku.

W r. 1802 będąc wysłany do Berlina celem poznania świeżych urządzeń w tamecznych gimnazyjach, uczęszczał także i do miejscowego Instytutu Głuchoniemych, dla przypatrzenia się metodzie uczenia, chcąc ją zastosować przy nauce głuchoniemego dziecka które poznał w Szczuczynie. Ale żadnej korzyści stamtąd nie odniósł, gdyż zazdrośni Berlińczycy żadnych wskazówek udzielić mu nie chcieli.

Za powrotem do Szczuczyna zabrał się do nauki Gąsowskiego (tak się głuchoniemy nazywał.) Będąc w Lipsku, widział nauczyciela jak ten uczył głuchoniemego wymawiać. Z pewną niewiarą wziął się do tej metody, świetne jednak rezultaty jakie otrzymał, utwierdziły go w tem przekonaniu, że głuchoniemy może się nauczyć dosyć czystego wymawiania.

Gdy Falkowski został Rektorem Szkół w Szczu-

czynie (1807 r.), popisywał się ze swym uczniem na publicznym egzaminie. Zdumienie i rozczulenie obecnych i ich oklaski były pierwszą nagrodą jego cierpliwości i pracy. Fakt ten doszedł do wiadomości Izby Edukacyjnej. Wezwano Falkowskiego wraz z jego uczniem do Warszawy aby przekonać się o ile wiadomość ta była prawdziwą. Egzamin wypadł pomyślnie i Falkowski z tryumfem wrócił do Szczuczyna, gdzie przez kilka lat jeszcze miał Gąsowskiego przy sobie a wykształciwszy go zupełnie, odesłał do ojca w Łomży mieszkającego.

W r. 1815 znów wezwano Falkowskiego do Warszawy aby tam założył Instytut dla głuchoniemych. Z początku się wymawiał ale skruszyło go gorące przemówienie Ks. Staszica na posiedzeniu Przyj. Nauk. Zażądał jednak przedewszystkiem aby mu dozwolono udać się za granicę i ułatwić zwiedzenie instytutu Wiedeńskiego w celu obznajmienia się z metodami i sposobami kształcenia. Uzyskawszy przychylną odpowiedź i potrzebny fundusz, puścił się w podróż zabrawszy z sobą trzy niemowy. Tego co tam widział i słyszał próbował na elewach z sobą przywiezionych, aby nabyć pewnej wprawy w nauczaniu. Fundusze jednak jakiemi rozporządzał wyczerpały się wkrótce—i Bóg wie coby się było stało gdyby nie szlachetna pomoc księżnej Lubomirskiej podówczas w Wiedniu mieszkającej, przy pieniężnej pomocy której pomieścił wszystkich trzech uczniów swoich w instytucie Wiedeńskim jako pensyjonarzy.

Z Wiednia wyjechał do Linz i Freisingen celem obejrzenia tamtejszych zakładów.

Zakupiwszy znaczną ilość książek i modeli potrzebnych do nauki głuchoniemych ruszył z powrotem do kraju z dyplomem na nauczyciela głuchoniemych, jaki po złożonym egzaminie w Wiedniu mu przyznano. Po drodze zatrzymał się w Krakowie i obroniwszy znowu rozprawę, stopień doktora filozofii otrzymał. Duchowieństwo zaś krakowskie mając na względzie 19-letnie zasługi Falkowskiego w zawodzie nauczycielskim, przejęte czcią i uwielbieniem dla jego cnót osobistych, zapału i poświęcenia się sprawie głuchoniemych, przyjęło go w swe grono z tytułem kanonika krakowskiego, i hojnie opatrzyło na podróż.

W Warszawie czekając na decyzyją Władzy, pomieścił się u biednego krawca na poddaszu—brak pieniędzy nie dozwolił szukać mu dogodniejszego lokalu. Upragniona rezolucyja Władzy nadeszła wreszcie: jej rezultatem był wyjazd Falkowskiego do Szczuczyna z 2-ma elewami i 1000 złp. jakie Komisyja Oświecenia wyznaczyła na dwóch stypendystów.

Po niejakim czasie Władza znów wzywa Falkowskiego do Warszawy i tym razem wyznacza mu 12,000 złp. jako fundusz na kilkunastu stypendystów. Z tej małej sumy wypadało całkowicie utrzymać kilkunastu uczni, zapłacić nauczycieli i najem mieszkania. Energija Falkowskiego i temu dała radę. Wydzierżawił parę pokoi na Krakowskiem Przedmieściu pod Nr. 391 i tam dnia 23 Października 1817 roku Instytut Głuchoniemych otworzył.

Epoka od r. 1817 do 1822 była najcięższą dla Falkowskiego. Litościwy bez granic, przytulał do siebie i brał na wychowanie każde dziecię głuchonieme, przez co liczba wychowańców trzykroć była większa nad etat. Następstwem tego nieoględnego miłosierdzia, był ciągły brak nieraz pierwszych potrzeb do życia.

W r. 1823 Cesarz Aleksander I zwiedzając różne zakłady naukowe w Warszawie, nie pominął Instytutu. Spędziwszy w nim stosunkowo czas dosyć długi wyraził Swe zadowolenie Zwierzchnikowi i rozkazał mu stawić się nazajutrz w zamku.

Falkowski marzył o tem aby zbliżyć się do Monarchy w celu wyjednania stałego przytuliska dla dziatwy którą umiłował. Dziś spełniły się jego sny złote. Z bijącem sercem, lecz pełen otuchy idzie w podwoje zamkowe. Cesarz przyjął go uprzejmie nad wszelki wyraz i zażądał stanowczo odpowiedzi na 2 pytania: czego żąda dla instytutu i czego żąda dla siebie w nagrodę? Z łatwością odpowiedział na pierwsze, na drugą nie mógł się zdobyć odpowiedź. Gdy Cesarz z naleganiem powtórzył zapytania, Falkowski prosił aby mu wolno było zarządzać parafiją ś. Aleksandra, na co też zaraz zezwolenie otrzymał.

Owocem tej wizyty w zamku była suma 124 tys. złp. ofiarowane przez Naj. Cesarza na budowanie Instytutu. Falkowski zakupił natychmiast plac przy ulicy Wiejskiej N-em 1736 oznaczony i z zapałem wziął się do budowy stałego locum. Ale nowe kłopoty spadają na biedną głowę szlachetnego Falkowskiego. Suma anszlagowa wynosiła 262 tys. złp. — brakuje większej połowy. Skąd ją pokryć? Falkowski nie traci ufności w łaskę Bożą i miłosierdzie ludzi. Z niesłychaną wytrwałością chodził od domu do domu niby drugi Baudouin i wypraszał dary w naturze lub w pieniądzach. Składki szły bardzo opieszale — ogół dosyć obojętnie patrzył się na sprawę ludzi wytrąconych ze społeczeństwa; nie tylko że nie brano udziału w składkach, ale nawet dopuszczano się szykan mogących nawet świętego od tej sprawy odstręczyć. Między ofiarami jakie wpływały do kasy Instytutu, znalazł np. Falkowski kopertę, w której był grosz z napisem: „Ofiara godna celu.“

Pomimo tych trudności zdołał jednak ukończyć budowlę i w niej Instytut pomieścił. Widząc swe dzieło na drodze pomyślnego rozwoju, sterany pracą, podupadły na zdrowiu, prosił o uwolnienie go od obowiązków Rektora w r. 1831 — zaś obowiązki proboszcza parafii pełnił bez przerwy do r. 1837, mieszkając ciągle w Instytucie gdzie pracował już to jako nauczyciel, jużto jako członek Rady Nadzorczej.

Po uzyskaniu całkowitej emerytury, resztę życia umyślił spędzić w wiejskiem ustroniu. Rodzina hrabiów Łubieńskich w Guzowie z radością otwarła swe progi zasłużonemu mężowi.

Mógł teraz odetchnąć po trudach całego życia, mógł z pogodnem czołem i wewnętrzym spokojem zażywać spoczynku i sławy, na jaką swem życiem cnotliwem, pełnem pracy i poświęcenia zasłużył. Niezmordowany Falkowski

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

VI.

Dziwnie sceptyczny duch nawiedza niekiedy felijetonistę waszego. Nic wtedy nie zdoła rozjaśnić chmur z jego czoła. Gdyby najpiękniejsza dziewica stanęła przed nim, spojrzałby na nią obojętnem okiem niewiary, gdyby wszystko złoto Kolchidy wpłynęło do skromnej kieski, powitałby ten uroczy widok wzrokiem sceptycznej pogardy. A wiecie co powoduje tak smutny nastrój ducha sługi waszego?.. Oto myśl o niedoskonałości wszystkiego, na czem tylko dłoń ludzka spocznie, wspomnienie tej bladej mary, która kładzie zaporę najszlachetniejszym usiłowaniom.

Zaiste, na najjaśniejszem niekiedy tle życia rozwiesza ona ponure szaty, czyli mówiąc po prostu, wszędzie złe i słabość się zakorzenia. W pewnym np. wielkim grodzie Europy, znanym ze szlachetnych popędów obywateli swoich, z ich niespracowanej działalności w każdej sferze życia społecznego, istnieje szczupłe grono mężów, mających na pieczy krzewienie oświaty w ciemniejszych warstwach ludności miejscowej. Działalność ich rozwija się zwolna, leniwo, mimo szczerych chęci i usiłowań większości. Albowiem jak wszędzie, tak i tu zjawia się rujnująca dłoń niemocy. Obok rozsądnych i chętnych pracowników stoi spora liczba indywiduów, które równie dobrze pojmują zadanie swoje, jak Chińczycy politykę europejską.

Skoro więc zbierze się zgromadzenie dla ogólnej narady, panowie ci nadają mu charakter dosyć oryginalny i humorystyczny nawet. Mamy tu właśnie wierny wizerunek jednej z takich niewinnych zabaw, na której znajdowała się przeważna ilość wielkich agitatorów *minoris gentii*. Słuchajcie!.. Rozpoczyna się narada. Prezes zabiera głos w obec kilku zgromadzonych.

— Panowie!—pojmujecie zapewne ważność dzisiejszego zebrania. Oto mamy tu z ofiar prywatnych sporą liczbę książek. Niech każdy wybiera stosunkowo do potrzeb umysłowych czytelników swoich!

Jeden z członków. Ja chciałbym wnieść nowego kandydata!

Prezes. Przepraszam, teraz nie pora na to. Inny jest cel dzisiejszego zebrania.

Drugi z członków. Ja zanoszę skargę na pomocnika mego, że nie uczęszcza do czytelni!

Trzeci z członków. Ja proszę o dostarczenie druków!

Prezes. Panowie, uciszcie się! — Wnosicie kwestyje, które nie należą do programu dzisiejszego zebrania.

Jeden z członków do drugiego członka — młodego hrabiego. Dla czego hrabia nie złożył dotąd sprawozdania?!..

Młody hrabia. To do pana nie należy! Pilnuj pan swoich rzeczy! A pan wykazałeś mniej książek w ubiegłym roku, niż w poprzednim!

Pierwszy z członków. A pan się bijesz z czytelnikami!..

nie dał jeszcze swym siłom za wygranę — jak dawniej tak i teraz gorliwie uprawiał winnicę Pańską, pocieszał strapionych, potrzebnych wspierał, nie zapominając o szkółkach wiejskich i nauczycielach, którym pomagał radą i czynem.

Na kilka miesięcy przed śmiercią wrócił do Instytutu między swe ukochane dziatki. Rozkoszą blade oko starca spłonęło na widok swego dzieła tak chlubnie prowadzonego. Łzami wdzięczności dziękował przewodnikom i nauczycielom, za ich gorliwość i poświęcenie.

Dzień 2 Września 1848 r. był kresem jego żywota. Wielbiciele jego wysokich cnót, rektor, nauczyciele i uczniowie otoczyli łoże umierającego dobroczyńcy. Serdeczny żal jego przyjaciół, łzy jego wychowańców, tłumy ludu zebrane na obrzęd pogrzebowy wymownie świadczyły, jak godnie Falkowski spełnił swoje zadanie na ziemi.

Ciało jego pochowano w katakumbach kościoła Św. Aleksandra.

Że Falkowski cieszył się należnem mu uznaniem dowodem jest to, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk przyjęło go do swego grona jeszcze w r. 1819 wręczając mu zarazem medal złoty jako nagrodę za założenie Instytutu.

Był to człowiek rzadkiej skromności: ilekroć oddawano mu należne pochwały za jego pracę około głuchoniemych, wypierał się swych zasług. Nawet założenia Instytutu sobie nie przypisuje, czego dowodem jest mowa jaką miał na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk 23 Listopada 1820 r. gdzie mówi że Instytut winien swój początek obywatelskiej gorliwości Szanownego Prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk (ks. Staszica).

Jako uzupełnienie rysu jego skromności musimy dodać jeszcze i to, że we wszelkich stosunkach prywatnych czy to w mowie, czy piśmiennie, zawsze się *Kubą grzesznym* mianował.

H. T.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Wszystko to wpłynęło na serce Salomei. Osamotniona, a nawet w szerszych kołach nieznana prawie, ujrzała się nagle na świeczniku miasta powiatowego. Sławny człowiek, którym zajmowało się całe miasto, mógł do niej należeć!... Mogła podzielać z nim laury nie tylko w kraju ale nawet w całej Europie. Czyż to nie podchlebia dumie kobiecej?... Czyż to samo nie byłoby w stanie przyciągnąć serce kobiece, chociażby to serce wcale pierwej nie odzywało się?

Serce Salomei ozwało się już pierwej, a to co w mieście mówiono, przyczyniło się tylko do utwierdzenia jej w tem raz powziętem uczuciu.

I czemże w obec takiego bohatera mógł być biedny bezpłatny aplikant, o którym w mieście nikt nie mówił?... On wprawdzie kochał ją — kochał ją z czcią i szacunkiem, jak się kocha wyższe istoty — zabijał się dla niej pracą nad siły i całe życie swoje byłby się tak samo zabijał, gdyby ona była jego żoną...

Salomea jednak jego maluczkiej osoby i jego tajonej miłości wcale nie widziała. Lubiła go, jak się lubi znajomego, a przytem młodego i przystojnego mężczyznę — rozmawiając z nim nie opierała się wcale pokusie, aby drażliwem słowem lub wybitniejszem spojrzeniem nie sprawić na nim chwilowego wrażenia... Przedewszystkiem zaś była mu bardzo rada, gdy na kawę z muzyką przyszedł i — babunię lub innych gości zabawiał. Wtedy była nawet mu więcej niżeli wdzięczną, ściskała go serdecznie za rękę i prawiła mu najsłodsze rzeczy.

Tym sposobem popadł aplikant wraz z całą opiniją miasta w nieporozumienie fatalne.

Najlepsze za to porozumienie panowało między Salomeą a artystą. Nie mówili wiele do siebie, a jednak rozumieli się doskonale. Rozmową ich były wymowne spojrzenia, czasami jedno słówko nagle urwane a najczęściej lekkie, widocznie tłumione westchnienia. Czasami dotknęły się ich ręce na białych klawiszach, a wtedy dopowiadała resztę muzyka, której tony i akordy były tak elastyczne, tak wiele w sobie pomieścić mogły.

Tej dziwnej tak wyjątkowej miłości dopomagał także domek, w którym mieszkał artysta. Dni były letnie, pogodne — okna prawie zawsze otworzone. W jednem z tych okien, ujętym w ciemne ramy pokazywał się często artysta w aksamitnym, fantastycznym stroju. Miał często głowę ręką podpartą, i okazywał głęboką zadumę. Brunatne oczy jego szukały często okna gdzie były oleandry i liście figowe...

Twarz Salomei po za tymi liśćmi wyglądała cudownie. Poświęcała teraz więcej pracy swojej fryzurce, a nawet strój negliżowy nosił widoczne ślady wielkiej staranności. Częściej niżeli dawniej przechadzała się po ogródku, zrywała kwiatki, wiązała bukiety — a Floryjan wszystko to widział i podziwiał.

Taki romans podobał się bardzo Salomei. Było w nim wiele uroku, a jeszcze więcej poezyi. Wdzięczną była babuni, że zostawiła ją w takiej chwili samej sobie — że owych subtelnych tkanek dziewiczego serca nie obrażała szorstkiem słowem swojem, nie dotykała się swoją zimną ręką.

Co zaś o tem wszystkiem myślał artysta — trudno odgadnąć. W jego gorącej wyobraźni snuły się jakby w kalejdoskopie jakieś barwy tęczowe, a chociaż żadnego wyraźnego nie dawały mu obrazu, bawiły go samem bogactwem kolorytu. Użył dzisiejszego usposobienia swego do skomponowania kilku „pieśni bez słów,“ w których czytał jasno dzieje dzisiejsze swego serca. Czuć było wyraźnie, że

---

Młody hrabia (*z oburzeniem*). A pan wymyślasz czytelnikom. (Następuje mała sprzeczka między młodym hrabią a starszym nieco, lecz nie ozdobionym mitrą towarzyszem).

Prezes (*zwracając się do pierwszego*). Hrabio, jako młodszy powinieneś ustąpić starszemu koledze!!

(Młody hrabia robi wątpliwą minę).

Szanowne zgromadzenie zwolna ucisza się. Prezes przystępuje do rozdawania książek, czytając głośno ich tytuły:

— „Rozmyślania pobożne.“

Kilku członków na raz. Proszę, proszę! — (wyrywają książkę).

Prezes. Ależ panowie, cóż robicie! kto pierwszy prosił?..

Kilka głosów. Ja!.. Ja!..

(Prezes oddaje najbliższemu. Kilku członków robi zagniewaną minę).

Prezes czyta dalej: — „Pierwsze zasady Ekonomii politycznej.“

(Ogólne milczenie).

Prezes. Jakto, nikt nie bierze?! —

Jeden z członków. Sądzę, że nikt tego czytać nie będzie.

Drugi z członków. A ja sądzę, że gdyby nawet kto chciał czytać, nie należy mu dawać. Od czytania podobnych dzieł robi się tylko chaos w głowie, a i moralność na tem ucierpieć może.

Prezes. Panowie, po raz ostatni! Kto bierze tę książkę?...

Drugi z członków. Zresztą wezmę!...

Wszyscy (*wybuchając śmiechem*). A przedtem dowodziłeś pan o szkodliwości tego dzieła...

(Zagadnięty członek uważa za stosowne nic nie odpowiadać na niegrzeczny wybuch kolegów).

Po spełnieniu funkcyi rozdawania książek, szanowny Prezes, otarłszy pot z czoła, siada strudzony.

Kilka głosów. Tak mało książek! ..

Jeden z członków, który dotychczas nie wtrącał się do rozmowy. Ja sądzę panowie, że książek mamy dosyć, ale czytelników mało!...

Drugi z członków. Przecież gwałtem nie będziemy ich zwoływali!...

Pierwszy z członków. Ale wielu rzemieślników nie wie nawet o istnieniu czytelni!

Prezes. Panowie, nie sprzeczajcie się! Nie żądajmy zbyt wiele! Jeżeli tylko każdy z was ma książki i rachunki w porządku, to dosyć! Więcej od nikogo nie żądam!...

Młody hrabia. Ja agituję!..

Wszyscy przerywają mowę młodemu hrabiemu. Odzywa się dzwonek, obwieszczający koniec narady, szlachetni promotorzy oświaty rozchodzą się do domów w tem błogiem przekonaniu, że spełnili należycie swój mozolny obowiązek.

Czy w obec podobnego faktu nie może owładnąć czułą duszą sługi waszego smutne uczucie sceptycyzmu i pesymistycznego splenu? Nie jego tylko zresztą nawiedza ta blada mara. Jeden z braci felijetonistów w przystępie takiego nastroju marzy o cichem schronieniu na Lesznie. Nie wchodząc w specyjalne przyczyny tej manii, obawiamy się tylko, aby najdowcipniejszy felijetonista nasz nie skruszył

te pieśni ułożyły się pod jakiemś silniejszem wrażeniem, którego tak pragnął.

O rezultacie tego wrażenia może jeszcze niemyślał — ale naturalny przebieg rzeczy rozwinął nagle przed nim dramat, w którym ujrzał siebie aktorem.

XII.

Było to w pierwszych dniach września. Dzień był pogodny. Słońce przygrzewało jakby w lecie.

Floryjan wrócił właśnie z przechadzki ponad rzeką. Było to bardzo miłe, romantyczne ustronie. Nad brzegami rzeki były grupy drzew, a mnóstwo ptastwa świergotało w konarach. Po drugiej stronie malowały się na szafirowem niebie małe wzgórza pokryte lasem.

Floryjan lubił tę przechadzkę. Mógł tam marzyć do woli. Żaden zgiełk światowy nieprzerywał mu tych marzeń, choćby były tak subtelne jak pajęczyna, która właśnie całemi szmatami latała po za rzeką.

Zdaje się, że dzisiaj marzył Floryjan więcej niżeli zwykle. Marzył prawdopodobnie o przyszłych laurach swoich, o koncertach w Wiedniu i Paryżu, słyszał oklaski tłumów i przeczuwał wieszczem sercem gorące afekta najpiękniejszych dziewic.... Od czasu do czasu zdejmował kapelusz i obcisłą rękawiczką podgarnywał złote pukle włosów do góry, aby je przysposobić do tych wieńców i laurów.

Pomiędzy te marzenia artysty wciskał się także i dworek biały, w którym było okienko z oleandrem i figowemi liściami. W tem okienku jaśniała piękna twarz ocieniona ciemnymi włosami i patrząca na niego oczami błękitnemi.

Floryjan i przy tym obrazie podgarnął włosy do góry i wyprostował pierś swoję, jak to ongi robili tryumfatorowie rzymscy, gdy mieli na skroniach laury z wielkich zwycięztw.

Po tak urozmaiconych marzeniach wrócił do skromnej izdebki, którą mu na tymczasowy pobyt odstąpił starszy brat.

Izdebka ta nie zgadzała się wprawdzie z jaskrawym kolorytem tych marzeń. Była skromnie wybielona i prócz sofki małej, łóżka i stolika nie miała żadnego innego komfortu.

Powrót z marzeń tak górnolotnych, do skromnej rzeczywistości sprawił na Floryjanie nie bardzo miłe wrażenie. Ofuknął dzieci brata, które go z radością witały i wszedł do izdebki.

Za chwilę weszła starsza siostra jego która w mieście miała mały magazyn z białem szyciem.

— Przeszkadzacie mi zawsze! z kwaśną miną powitał ją Floryjan — przecież nie mam czasu z wami rozmawiać!

— Daruj kochany bracie — odpowiedziała nieśmiało siostra — ale ja chcę z tobą kilka słów o ważnym interesie pomówić.

— Jakiż możecie mieć ważny interes dla mnie!

— Interes twój własny!

— Mój własny interes? z zadziwieniem zapytał Floryjan i spojrzał na siostrę.

Biedna kobieta nabrała odwagi.

— Nie gniewaj się Floryjanie, rzekła z twarzą zarumienioną — nie gniewaj się, jeśli chcę mówić o twoim interesie. Masz więcej od nas nauki, a może to co ci powiem, wyda ci się niedorzecznem. My bowiem jesteśmy ludźmi zwyczajnymi, a ciężka praca niepozwala nam nawet zbyt często myśleć!

— Jakiż interes?

— Nie jest to wprawdzie interes, jak to mówią pospolicie — ale właściwie szczęście, które cię spotkać może.

Cóż wy o mojem szczęściu możecie mówić? Czyż wy wiecie co może być mojem szczęściem?

— Zdaje mi się, że szczęście u wszystkich ludzi jest jedno i to samo — to jest, aby w zacnem małżeństwie znaleść miłość prawdziwą.

Rozśmiał się Floryjan.

— Wy o żadnem innem szczęściu nie macie wyobrażenia, jak tylko aby się ożenić.

— Przecież do tego dążą wszyscy ludzie tak samo ci co są na górze, jak i ci co na dole.

Floryjan przeszedł się kilka razy po izdebce.

— Na to mam jeszcze czas! odrzekł po chwili podgarniając włosy do góry.

— To prawda — ale jeżeli trafia się sposobność być szczęśliwym, dla czegóż niekorzystać z tego?

— Jakąż to sposobność widzisz?

— Przecież ta panna z dworku.....

Zadowolenie wybiło się na twarz Floryjana.

— Panna Salomea — odrzekł po chwili rozszerzając swoje kroki — panna Salomea jest piękną w całem znaczeniu tego słowa.

— I kocha cię!

Floryjan stanął nagle przed siostrą. Uśmiech rozkoszny otworzył mu usta.

— Kocha mnie? A skąd to wiesz? zapytał patrząc na siostrę z zadowoleniem.

Biedna kobieta odetchnęła. Lękała się mówić o tem z bratem swoim, ale teraz poznała z jego twarzy, że rzecz tak delikatną dalej prowadzić może.

— Byłam pewną, rzekła, że się na mnie nie pogniewasz. Jest to rzecz drażliwa mówić o takiej rzeczy, ale siostrze musisz wybaczyć. Panna Salomea rzeczywiście kocha cię!

— Ale skąd to wiesz?

— Oko kobiety widzi lepiej od mężczyzny. Patrzałam nieraz na was oboje przez okno, widziałam was grających razem we dworku, lub przechadzających się po ogrodzie. Zresztą i ludzie wiedzą o tem.

— I cóż ludzie mówią o tem?

— Dobra opinija ludzi, oto połowa sprawy. Przyznam ci że sama niepoważyłabym się namawiać cię do czegoś, co by było niepodobnem. A w gruncie rzeczy tak się to przedstawia. Wiesz o tem bardzo dobrze, że panna Salomea należy do najpierwszych panien w mieście. Jest pańskiego rodu i ma majątek. Nie tacy jak my ludzie chcieli ją wziąść do swoich rodzin. My ubodzy mieszczanie — jakiż zaszczyt może mieć z nas? Przyznam się, że nawet nie miałabym odwagi, aby cię namawiać do tak szalonego kroku — ale jeśli opinija ludzi nie ma nic przeciw temu, jeśli sama panna okazuje ci, że cię kocha — to zda-

---

tam pióra swojego, lub nie nadał swym myślom zbyt ponurej barwy. Bo chociaż, jeżeli w razie protekcyi umieszczą go w wyższej sferze apartamentu, będzie miał przed oczyma uroczy widok okolicznych dachów, jednakże pouczające medytacyje nad ich strukturą są niezbyt obfitym materyjałem dla duszy literackiej.

Pesymistyczny nastrój wyprawia nam różne figielki. Oto, opętawszy młode latorośle, skłania je do emigracyi w zamorskie kraje.

Cóż bo dziwić się tym biednym robaczkom, kiedy nawet wielcy poeci poddają się władzy namiętnych porywów tego złowieszczego ducha. Oto co pisze p. *Miron*, „przez pośrednictwo Kuryjera“ „*Do Florencyi.*“

„Tylko mi nie mów o miłości ludzi,“
Kochałem jedną i, byłem jej bratem,
A ona dla mnie- *słońcem, ptakiem, kwiatem*,
I taką piosnką—co wciąż ducha budzi...
I życie moje -było poematem.

„Tylko mi nie mów o miłości ludzi,“
Ja kochać będę ich do życia końca,
Nikt mi miłości owej nie wystudzi,
Boby mi brakło—ptaków, kwiatów, słońca,
A życie przecież *smutne i tak trudzi*,
I kona jak pieśń—*która duchów budzi*.“

Zaiste, urocza kochanka wieszcza mogła być jasnem słonkiem, uroczym ptaszkiem i kwiatkiem, lecz była niestety, lichą „piosenką,“ gdyż nie zdołała obudzić do trzeźwości zaspanego w mgle marzeń migdałowych, wielbiciela swego. Nie myślimy bynajmniej ostudzać miłości poety, ale pragnęlibyśmy mu wytłomaczyć, że te niebiańskie porywy dziwnie jakoś wyglądają w niedołężnej szacie twórczości rymowanej.

Jeszcze jedno zoilowskie słówko *a propos* poezyi. O wiekopomny wieszczu z Czarnolesia! Czyś się spodziewał, że po upływie kilku wieków znajdziesz naśladowcę swego, który równie, jak ty, zapłacze nad grobem zmarłego dziecięcia, z tą tylko różnicą, że ty wylewałeś treny w cieniu lipy w uroczem zaciszu wiejskiem, a on zapewne w znanem, a głośnem cudami miejscu. Oto ustęp z tego arcydzieła, które już przez kilka N-rów Ogniska Domowego zachwyca nas swoją wykwintną elokwencyją:

„Trzech mędrców, którym ludzie powierzają życie,—
Trzech doktorów wciąż stało nad twoją kołyską
I radzili—radzili... *wyrabiali wszystko*,
Co tylko *mi cię* mogło tu zgubić o dziecię!
Nie przyszedł nikt, nikt,—coby wpatrzywszy się we mnie
I widząc, że bez ciebie ja ach!... żyć nie mogę, —
Chytrej śmierci *fortelem jakim zaszedł drogę*
I spłoszył ją... O takich czekałem daremnie!
Natomiast... gdyś umarła,—to wpadł *pokryjomu*
Cały tłum zaraz ludzi... Z rąk mi cię wyrwali —
Ponieśli tu—w grób zimny, w piasek zakopali —
I poszli!....

Ustęp ten nie potrzebuje, zdaje się, żadnych komentarzy. Więcej takich utworów, szan. poeto, a sława twa przewyższy sławę nieśmiertelnych Back'ów, Rozbickich i t. d. Chwytaj więc czemprędzej myślątka swoje i produkuj na pożytek czytelnikom i uciechę zoilowskim felijetonistom. W trenach p. Asp. schodzi na tak nizki stopień twórczości, iż w obec niej wydaje się arcydziełem nawet efemeryczna „*Róża*“ p. *Pomiana*, którą zaprodukował nam Tygodnik Illustrowany.

Kiedyśmy już zabrnęli w poezyją, damy wam łaskawi czytelnicy, małą próbkę twórczości poetycznej młodzieńczego ludu. Oto nadesłano

je mi się można się odważyć i starać się o jej rękę.

Floryjan wstrząsł długie włosy i uśmiechnął się z pewną ironiją.

— Twoja tchórzliwość — odparł — nie jest tutaj stosowną. Panna Salomea pochodzi z ładnego rodu, i jak na miasto tutejsze, ma majątek dosyć ładny. Gdybym ja niczem innem nie był, jak tylko synem ś. p. ślusarza przedmiejskiego, to panna Salomea byłaby rzeczywiście dla mnie partyją nie zdobytą! Nie odwagi ale szaleństwa trzebaby, aby się wtedy o nią pokusić. Ale moja pozycyja zmienia postać rzeczy. Talent mój równa mnie z ludźmi wyższymi odemnie pozycyją i majątkiem. A w takim razie panna Salomea nie jest dla mnie owocem, którego lis dostać nie mógł, i kwaśnym go nazwał.

— Jeżeli więc możesz dostać ją....

— Przynajmniej nie widzę żadnych wielkich przeszkód... a jeżeli jak mówisz ona mnie kocha....

— Nie wymawiaj tego słowa z takim uśmiechem.... bo takie słowo u kobiety znaczy — całe życie.

Floryjan przeszedł się kilka razy.

— Widzę, że na seryjo rzecz bierzesz! ozwał się po chwili — a więc na seryjo trzeba się nad tem zastanowić!

— Co się tu zastanawiać? Brać prędko szczęście, które dobrotliwy Bóg daje!

— Nazywasz to szczęściem?

— A któż kiedykolwiek z naszej rodziny marzył kiedy o tem, że ty będziesz mógł ożenić się z panną z tego dworku, i mieć jeszcze za nią kamienicę z balkonem?...

— Czy to tak wiele?

— Nie obrażaj Boga! Najpierwszy w mieście kawaler dziękowałby Bogu na klęczkach za takie szczęście! Przecież już człowiek ma pewne swoje jutro!

d. c. n.

BEZ MIŁOŚCI.

(Myśl z Teodora Storma.)

Du hasst mich gekuesst ohne Liebe,
Das moege Gott dir verzeihen.

Że ty mię kochasz prawdziwie, szczerze,
Wierzyłam dotąd szalona,
Teraz znam ciebie—precz stąd, nie wierzę,
Puść—już mię nie tul do łona.

Tyś myślał, żem ja dziewczyna pusta,
Czci nie mam w duszy prostaczej,
Więc bez miłości całujesz usta
Nie, tego Bóg nie przebaczy!

Puść mię dla Boga—puść, ja się boję!
Puść mię z twej dłoni zaciekłej,
Anioł mój płacze, bo usta twoje
Hańbę na moich wypiekły.

Idź—będziesz węża w sumieniu chował—
Pan ci to w niebie zaznaczy,
Żeś bez miłości usta całował -
O, tego Bóg nie przebaczy!

Wiedz—pocałunek, co z serca płynie
Jako modlitwa jest czysty—
Lecz bez miłości to grzech jedynie,
Grzech ciężki, błąd wiekuisty!

Idź—idź—ach, darmo—nic już przeszłości
Ubiegłej nie przeinaczy.
Tyś mię całować śmiał bez miłości,
Niech grzech ten Bóg ci przebaczy.

Bronisław Grabowski.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VII.

Gubernija Kowieńska.

(ciąg dalszy)

Połąga, podług późniejszych rozgraniczeń weszła do składu dzisiejszej guberni Kurlandzkiej. Wszakże nie możemy o niej przemilczeć, gdy z nią związano tyle wspomnień z życia dawnej Litwy. Położona nad samem morzem otwierała wstęp do Baltyku. Słynna od najdawniejszych czasów swoich *bursztynem*, śledziami i innemi rybami morskiemi, sprowadzała do siebie Fenicyjan i Rzymian. Później Witold urządził tu port wyborny i komorę celną. Jeszcze do początku XVIII stulecia Połąga była portem, ale już jedynym w Litwie. O 4 wiorsty ztąd, gdzie rzeka Szwenta wpada do Baltyku był *stary port* a i osada przy nim nazywała się *Szwenta*, dziś *Heiligen—Aa.*

Równinę piaszczystą na której leży Połąga, otaczają z dwóch stron dość znaczne i wyniosłe góry nad samym brzegiem morza położone. Jedną z nich porosłą lasem żeglarze nazywają *Holländische mütze*, dla tego że ma niby to podobieństwo do kapelusza. Druga zaś góra pamiętna w dziejach Litwy — nosi nazwę sławnej *Biruty.* To litewska *Wanda;* do dziś dnia pamięć jej czczona u ludu w śpiewie, w legendach i przypowieściach. Wszystkie cnoty niewieście, dobroczynność, czystość obyczajów, a do tego piękność niezrównaną, wszystko to Birucie przypisują. Ojciec jej, możny bojar żmudzki, Widymunt, jeszcze dzieckiem prawie poświęcił ją bogom, przeznaczając na kapłankę i usługi przy rozniecaniu i pilnowaniu wiecznego ognia, który na tej samej górce palił się bezustannie. Biruta słynęła urodą na cały kraj. Wiedział o tem mężny i waleczny książe Kiejstut; niespodzianie stanął przed nią, zapalił się miłością, porwał ją i za małżonkę uroczyście w Nowych Trokach poślubił. Ona to była bóstwem dobroczynnem Litwy, a matką najsławniejszego z jej bohaterów Witolda. Po zamordowaniu Kiejstuta w Krewie z rozkazu Jagiełły, Biruta wróciła do Połągi i tu umarła. Czy tu pod tą górą popioły jej pogrzebione — niewiadomo z pewnością; dość, że lud i dziś nazywa tę górę *grobem świętej Biruty.* Nic bardziej uroczego jak widok z tej góry, porosłej wielowiekowemi drzewami.

Liczne bardzo kurhany otaczają Połągę. Jedni nazywają je *mogiłami rycerzów*, inni, co powszechniejsze, *grobami olbrzymów.* Kurhany

nam niedawno wiersz *rumuńskiego* poety *Jana Heliade* p. t. „*Upiór*“ w przekładzie p. *St. Kuczewskiego*, z którego wyjątek tu pomieszczamy:

„Patrz matulu, czym ja chora?—Ciężko pierś oddycha,
Ciało biedne udręczone żółknie i usycha;
Na niem plamy, jakby piętna ogniem wypalone,
Usta gorą, patrz matulu i lica zmienione!
Serce głośniej bije w piersi, gwałtem się wyrywa,
Samo nie wie, czego żąda, kogo biedne wzywa;
Krew się w żyłach lodem ścina, to znów żarem tryska,
Niewidzialna dłoń me łono zda się, że przyciska,
Że mnie pieści—ja się budzę, wyciągam ramiona;
Patrz matulu!—jam już odtąd dzika i szalona:
Żądzy ogień mnie pożera, z bojaźni drżę cała,
Płaczę gorzko... jużem pono oczy wypłakała!
Pot wystąpił, patrz matulu, na czoło, na skronie,
Jedno lice lodowate, drugie ogniem płonie,
Tchu nie staje, jakiś ciężar pierś moję przygniata,
Cierpi dusza:—pragnie wzlecieć do innego świata.
Ale co to wszystko znaczy?.. jam naprawdę chora,
O rozpytaj bab matulu!.. ratuj od *upiora!* *)
Może zechcą mnie zażegnać *Komana Sorika?* **)
Może lepiej pozwać popa, może czarownika?..

*) Sburatorulu po rumuńsku znaczy smok lub upiór. Podług mniemania ludu nawiedza on młode dziewczyny, rozbudzając w nich żądze miłosne.
**) Komana Sorika—wiejskie znachorki.

Od poezyi lirycznej przejdźmy do muzy dramatycznej! Będą więc aż *dwa konkursa*, mające za cel wpłynąć na obfitsze zapłodnienie jej twórczości. Pierwej założony konkurs Kuryjera Warszawskiego w godnej podziwu wspaniałomyślności uważał za stosowne nie przyjąć ofiary młodszego kolegi. Skonfundowany w ten sposób Kuryjer Codzienny, schował do kieszeni odrzucony fundusz i powziął zamiar utworzenia drugiego konkursu, co przy pomocy szlachetnych zwolenników swoich, niebawem zapewne uskuteczni. Jednakże dotychczas nie widać jakoś tej pomocy. Pewna młoda protektorka sztuki ofiarowała hojną rączką rs. 25, pragnąc zachęcić innych do naśladownictwa. Nic to jednakże nie pomogło, i konkurs Kuryjera Codziennego oczekuje litości dusz miłosiernych.

Będziemy więc mieli dwa konkursa, dwie poważne trybuny sędziów! Wspaniały komplet starszego sądu znamy już i w swoim czasie złożyliśmy hołd należytego uznania prawdziwie starannemu wyborowi członków. O drugim wkrótce się zapewne dowiemy.

Autorowie dramatyczni rozdzielą się na dwa obozy: *codziennych* i *warszawskich.* Obawiamy się, czy podobne rozdwojenie nie przeniesie oręża polemicznego i do poważnej krainy Melpomeny, gdzie dotąd istnieje patryjalchalna zgoda.

Kwestyja patryjarchalności przywodzi nam na myśl dosyć wesołą sprawę. Czytaliście zapewne o sławnym wyroku Sądu w *Lankesterze* w Stanach Zjednoczonych. Łagodni sędziowie znacznie zmniejszyli karę za wielożeństwo z przyczyny, iż przestępca, przebywając w odludnej miejscowości, sądził, że mu służą *prawa patryjarchalne.* Mój Boże!—gdyby to u nas sądy uwzględniały podobne okoliczności! A toć felijetonista wasz, który zamieszkuje najbardziej bezludną i patryjarchalną część miasta, mógłby bez wielkiej obawy zaopatrzyć się w kilka nadobnych towarzyszek samotności, a później za karę, podobnie jak winowajca amerykański, przesiedzieć z każdą z nich kolejno przez miesiąc w zamknięciu, pocieszając się miłą rozmaitością erotycznych wrażeń. Ciekawą jest jednakże rzeczą, coby później nastąpiło!

te dotąd naukowo nie zbadane. Połąga dziś jest własnością Józefa hr. Tyszkiewicza. W lecie zjeżdża się tu dość znaczna liczba osób dla kąpieli morskich.

Do pamiątkowych miejscowości na Żmudzi należy *Wielona* nad Niemnem, o 7 mil od Kowna. Zdaje się że nie ma na Litwie drugiej miejscowości, która by tak jak Wielona, była krwią litewską i niemiecką przesiąkła. Warownia tutejsza na dwóch wyniosłych górach wzniesiona nad Niemnem wielekroć razy była zdobywaną i odbudowywaną. Prawie od osiedlenia się Krzyżaków w tych stronach Wielona stała się dla nich przynętą. Krwawe utarczki z Krzyżakami zaczęły się od Witenesa i trwały ciągle aż do upadku zakonu. Tu pod Wieloną, w roku 1339 wielki książe Litwy i Rusi Gedymin, ognistym postrzałem krzyżackim przeszyty poległ. Istnieje dotąd obok zamkowej, inna góra, którą od niepamiętnych czasów lud nazywa *górą Gedymina*, a gdy takaż góra równie z odwieczną nazwą *gedyminowej* istnieje i w Wilnie; niewiadomo przeto, która z nich pokrywa popioły bohatera litewskiego. Stryjkowski twierdzi, że Gedymin spalony w Wilnie, to samo powtarzają inni — pewności wszakże nie ma. Jedna z tych gór może być mogiłą, druga na pamiątkę tylko usypaną.

Wielona była naczelnem miastem powiatu swojego imienia i miała nadane sobie przez króla Zygmunta I prawo magdeburskie. Herb: *Karp' z wilczemi zębami w polu błękitnem.*

Z innych miejscowości na Żmudzi, gdzie były najdawniejsze zamki i zameczki warowne, świadki ciągłych utarczek z krzyżakami, wymienimy: *Jurborg* albo *Jurbork* nad Niemnem, niedaleko granicy pruskiej, własność księcia Wasilczykowa. Przez miasto to płynie rzeka *Imstra*, od zachodu zaś po za miastem rzeka *Mitwa*, obie wpadają tuż do Niemna. Tu nad brzegiem Imstry wznosi się góra *Wiszplis*, która właśnie była posadą zamku głośnego w wojnach krzyżackich, a sięgającego najodleglejszych czasów Litwy. Podług podań zapisanych przez Stryjkowskiego, Jurborg miał być stolicą czas jakiś całej Żmudzi i tu w zamku mieszkał w XI wieku Montwiłł syn Gimbuta panujący w tej części kraju. Podług Stryjkowskiego nazwisko Jurborg miało powstać od rzeki *Jura*, ale ta ostatnia daleko jest niżej. Obecnie w Jurborgu pierwszorzędna komora celna od pruskiej granicy. Miasto posiada blisko 11 tys. dziesięcin ziemi, a ludność dawniej wynosiła do 3 tys., dziś daleko mniej. Za miastem w pobliżu, we wsi *Żwirach* nad Niemnem jest kościół ewangielicki. Niemało tu mieszka Niemców od dawnych czasów. Niemcy i Żydzi prowadzą dość znaczny handel. Dziś Jurborg należy do powiatu Rosieńskiego. Herb Jurborga: trzy lilije białe w polu czerwonem.

Skirstymoń także nad Niemnem, dziś starostwo rządowe. Są domysły, że tu w r. 1313 Karol Beffart wielki mistrz krzyżaków zbudował zamek i nazwał *Christmemel*, co też żmudzini przekształcili na *Skirstymoń*. Dziś nie ma już ani śladu dawnego zamku.

Zamek Giełgudowski, oddzielony drogą od Niemna, także przez krzyżaków w wieku XIV wzniesiony. Znaczna część zamku dotąd ocalała i do tego czasu jest mieszkalną. Jest to wspaniały gmach, na wyniosłej górze, z 4 wieżami i strzelnicami okrągłemi. Długość zamku blisko 120 metrów, szerokość 8 metrów, grubość ścian 1 metr. Od XVII wieku należał do Giełgudów, dziś należy do Stanisława Pusłowskiego.

Rawdań albo *Raudań*, nad Niemnem, także zamek przez krzyżaków w wieku XIV wzniesiony z cegły czerwonej, z wieżami. Ruiny zamku jeszcze widoczne. Za krzyżaków nazywał się *Bajersburg*. Dziś Rawdań należy do hr. Kajsarowa.

Przy ujściu Dubissy do Niemna była nadzwyczaj starożytna warownia litewska, od rzeki *Dubissą* zwana. Później Niemcy przerobili ją na *Bisseny* i pod tą nazwą głośną jest w dziejach Litwy. W nowszych czasach miejsce to nazywano *Srzednik*, dla tego że jest w połowie drogi o 6 mil od Kowna i Jurborga. Dziś należy do marszałka Ludwika Żylińskiego (synowca ś. p. metropolity Wacława).

W wieku XII znany islandzki podróżnik Snorro-Sturlesohn opisuje osadę *Psen* albo *Pissen*, która mogła być właśnie Dubissą, albo Bisseną. Od XII wieku bliżej już znane dzieje tej warowni i nieustanne utarczki z krzyżakami. Pod zasłoną warowni, na wyspie, którą oblewają z jednej strony Niemen, a z drugiej Dubissa, zdaje się już w XII wieku było tak zwane święte *Romowe*, gdzie był ołtarz Perkunasa, przed którym palono wieczny ogień. Przy tej świątyni sam *Kriwe-Kriwejte* mieszkał z licznym orszakiem kapłanów. W roku 1294 W. mistrz Zakonu Konrad Fenchtwagen napadł na tę wyspę, zniszczył ołtarz, zgasił ogień i kapłanów w pień wyciął. Od tego czasu przez całe półtora wieku *Bisseny* ulegały prawie corocznym napadom krzyżaków i niejednokrotnie przez nich zdobyte były. W r. 1336 na wyspie, gdzie było Romowe (Romnowe) krzyżacy założyli twierdzę, którą nazwali *Marienwerder*, ale litwini niedali im skończyć nawet budowy i wyspę odebrali. Zatargi te nieustawały aż do roku 1409.

Jako najdawniejszy zabytek, zachowało się tu odwieczne grodzisko, przez lud *Pilokalnis* nazywane; Dyonizy zaś Paszkowski utrzymuje, że litwini zowią to grodzisko górą *Palemonową*.

Powódź r. 1829 oberwawszy znaczny brzeg Niemna, zniosła kościół tutejszy parafijalny z całem zabudowaniem probostwa.

Wilkija albo *Wilki* między ujściami Dubissy i Niewiaży do Niemna, miała także twierdzę litewską. Kroniki pruskie mieszają *Wilkomierz* z Wilkiją, mianując obie te miejscowości *Wilkenberg*. Dziś Wilkija należy do Benedykta Tyszkiewicza (Czerwonodworskiego).

Ejragoła, na prawym brzegu Dubissy, o 4 mile od Rossień, także do najpierwszych osad na Litwie należy. Stryjkowski wierzy ,że Ejragołłę założyli Włosi i nazwali tak z łacińskiego *Erraoscolae*, *id est Errantium Colonia*, gdy płynęli Dubissą, a inni szli brzegiem i spotkali się w tem miejscu, gdzie dziś Ejragoła. Lud przechował inne podanie: niejaki bajeczny Nemon, gdy z Niemna zwrócił się na

---

Ale *a propos* wrażeń erotycznych, cieszcie się, o śmiertelnicy, którzy często musicie doświadczać wykwintnej grzeczności urzędników pocztowych! Cieszcie się i radujcie, bo oto, jak chodzą pogłoski, wkrótce miejsce tych panów zastąpią nadobne przedstawicielki płci pięknej. Toż to dopiero miło będzie udać się z interesem do uroczych urzędniczek i wraz z uprzejmem załatwieniem sprawy, pozyskać wdzięczny uśmiech i słodkie spojrzenie! Poczta będzie mogła przytem zaprowadzić małą oszczędność, a mianowicie znieść większą część skrzynek do listów, zostawiając tylko kilka dla indywiduów z zamarłem sercem, nie zdolnem już do szczytnych uniesień, i dla osób, które *z przyczyn wyjątkowych*, nie będą mogły udać się do przybytku uroczych niebianek. Bo powiedźcie sami, czcigodni panowie, czyż który z was będzie tak lodowatej duszy, aby zamiast powierzyć swój list w nadobne rączki ekspedytorki, wrzucić go w prozaiczną paszczę skrzynki. Ani na chwilę nie powątpiewamy o podniosłej wrażliwości estetycznych popędów waszych!... A *donżuanowie*!... Już widzę jasny połysk radości na ich licach!..

A zacna ta ze wszech miar rzesza coraz bardziej się u nas produkuje i szlachetne zajęcie swe doprowadza niekiedy do szczytu doskonałości. Oto niedawno zdarzył się fakt, który ogłaszamy ku ogólnemu zbudowaniu, pragnąc się również przyczynić do udoskonalenia tej szlachetnej praktyki.

Pewna młodziutka panienka, oczekując przybycia ojca, wyglądała przez okno na dziedziniec. Słysząc jakieś kroki od strony bramy, zwróciła się w tę stronę. Ujrzawszy jednakże zamiast ojca, obcą zupełnie twarz młodego człowieka, schowała czemprędzej główkę. Po chwili słyszy na schodach jakieś kroki. Sądząc, że to ojciec przybywa, otwiera drzwi. Lecz zamiast oczekiwanego papy, staje przed nią jakiś ujmującej powierzchowności młodzieniec i słodkim głosikiem odzywa się do zarumienionej panienki:

— Czy jest ojciec w domu?

— Nie ma, czy pan ma jaki ważny interes?

— Dosyć ważny!

— To może pan będzie łaskaw powiedzieć, a ja uprzedzę ojca!

— Nie pani, jest to tego rodzaju sprawa, że tylko osobiście mogę ją przedstawić. Tymczasem jednakże pozwoli pani chwilkę spocząć, gdyż jestem bardzo zmęczony.

Naiwne dziewczę, ufając szczerości słów grzecznego gościa, wskazało miejsce do spoczynku.

Szanowny młodzian z należytą galanteryją starał się bawić zarumienioną dziewczynkę. Zacząwszy od pogody, przechodził zwolna do coraz weselszych rzeczy, i nie wiadomo, na czem by się skończyła ta rozmowa, gdyby nie odezwało się nagle stuknięcie do drzwi z drugiej strony lokalu.

— Ach, to pewno ojciec przyszedł!—zawołała dziewczyna i szybko wybiegła, aby otworzyć.

W samej rzeczy powrócił ojciec panienki. Lecz jakież było zdziwienie obojga, gdy wszedłszy do pierwszego pokoju, nie zastali już tam oczekującego gościa. Zapewne ważniejszą by-

Dubissę i długo płynąc śród głuchych lasów, stanął w jednem miejscu nad brzegiem i zawołał: *E! ira galas!* co znaczy: niema końca!— Stąd tedy i osada ta przez owego Nemona założona miała otrzymać taką nazwę. Wszystkie te podania dowodzą starożytności osady, jakoż już w w. XIII, występuje ona na widowni historycznej, jako warownia już *starożytna*. W r. 1262 mieszkał tu władca Litwy Lutuwer i on to rozpoczął długie boje zacięte z zakonem Teutonów, które trwały aż do początku XV stulecia. Ejragoła używała prawa magdeburskiego i miała herb własny: dwa miecze na krzyż złożone w polu czerwonem. Ejragoła dziś jest starostwem rządowem.

Do najpiękniejszych majętności w powiecie rosieńskim, a i na całej Litwie należy *Retow* nad Jurą, własność ks. Ogińskich, dawniej wielkie starostwo. S. p. Ireny książe Ogiński urządzeniem tych dóbr na znacznej przestrzeni i z wielką ludnością dał dowód, że przy dobrych chęciach i staranności w każdym kraju i czasie można stać się dobroczyńcą ludu. Jakoż włościanie retowscy odznaczali się nie tylko zamożnością, ale i oświatą. Oprócz bowiem kilku szkół wiejskich, była w Retowie wyższa szkoła agronomiczna włościańska, a przy niej bogate muzeum maszyn i narzędzi rolniczych. Włościanie posiadali własne kasy, rodzaj banków: włościański, wójtowski, handlowy i pocztowy. Mieli własne sądy i policyją. Zdumiony wędrownik, gdy zwiedzał Retowszczyznę za czasów księcia Irenego, sądził że jest gdzieś w odrębnym, nieznanym kraiku. Wiele lat życia poświęcił książe urządzeniu tych dóbr, które wziął zadłużone, a zostawił umierając w roku 1862 w najświetniejszym stanie. Był to pan z panów. Zarzucano mu pychę, arbitralność i t. d. — miał bowiem wielu nieprzyjaciół, jak każdy człowiek wyższych idei i niezłomnej siły woli. To tylko pewna, że nie było przedsięwzięcia naukowego, literackiego, artystycznego do którego by nie należał i hojną ręką nie wspierał. Kochał swoję Żmudź; wydawał własnym kosztem książki ludowe (prace Akielewicza który lat kilka przy księciu zostawał, jako nauczyciel języka litewskiego jego synów); troszczył się o dobrobyt włościan. Był prawym, nie lubił marzeń i złudnych nadziei, ale szukał środków robienia dobrze i stania się użytecznym ziomkom w zakresie możliwym.

Taurogi albo *Tawrogi*, na granicy Prus, 9 mil od Rosień, nad rzeką Szeszuwą, dziś znaczne handlowe miasteczko, ma przeszło 5 tys. mieszkańców i komorę celną pierwszorzędną. Były dobra to Radziwiłłowskie linii birżańskiej, a przez zamęzcie Ludwiki Karoliny Radziwiłłówney z Ludwikiem margrabią brandeburskim w r. 1681 przeszły na własność do domu brandeburskiego. Królowie pruscy zaprowadzili tu wzorowe stadniny; po ostatnim rozbiorze Taurogi odkupione zostały przez Rząd rosyjski, a Katarzyna Wielka darowała je księciu Zubowowi, którego następcy odprzedali znowu rządowi, a dziś należą do księcia Wasilczykowa.

Jak Częstochowa dla Polski, Ostra Brama dla Litwy, Białynicze dla Białej Rusi, Poczajów dla południowej Rusi, tak *Szydłów* dla Żmudzi słynny cudownym obrazem Bogarodzicy. Kościół tu założony w r. 1457 przez Piotra Giedygołda, w r. 1532 zabrany na zbór helwecki, gdyż proboszcz Hołubka sam przyjął to wyznanie, zbór ten przetrwał aż do r. 1754 i miał swego pastora; gdy zaś od r. 1600 obraz Bogarodzicy słynąć zaczął cudami, katolicy wznieśli wspaniały i duży bardzo kościół ozdobiony piękną płaskorzeźbą gipsową artysty Podhajskiego (ex-jezuity). Probostwo zaszczycone godnością infułata Szydłowieckiego. Przechowują tu kamień na którym Najświętsza Panna objawiać się miała pasterzom miejscowym i jakąś skrzynię żelazną odkopaną na polu z papierami i sprzętami kościelnemi.

d. c. n.

SPRAWY WYCHOWANIA

V.

Miłość Rodzicielska.

— Proszę Pana Dobrodzieja, opłaciłem ja z góry na rok cały należność za „Opiekuna Domowego" ale czy nie mógłbym jej wycofać za potrąceniem tego co by Wam za wyszłe numery przypadło?

— Ha, skoro Pan sobie życzy tego koniecznie, to trudno — powiedz nam jednak w zamian z łaski swojej — co Cię skłoniło do porzucenia pisma?... Powody mogą być słuszne, a w interesie naszym leży z uwag rozsądnych korzystać...

— A Panie „Opiekuna" chwalą ogromnie, a ja osobiście nic nie mam przeciwko temu, tylko widzisz Pan Dobrodziej to pismo nie dla mnie... Co bo proszę ja Pana staremu po tych tam *„sprawach wychowania"*.. Piszecie o tem dosyć dużo, więc na to czego by człowiek pragnął za swoje pieniądze, zostaje miejsca zamało....

— Częściej wprost przeciwne spotykają nas zarzuty ale... Pan widocznie bezżenny lub bezdzietny przynajmniej, więc.....

— Gdzie zaś mój dobrodzieju i żona jest i dzieciaków gromada spora, co to jednak ma jedno do drugiego. Już tam krzyczcie na to jak chcecie, a ja moich dzieci z książki wychowywać nie będę. Mnie wychowano po staremu, człowiek Bogu dzięki zdrów, ma kawałek chleba a zjeść w kaszy nie byleby go kto potrafił... toć i swoje maleństwo tak pokierować potrafi, że jakoś to tam będzie temu przecie.

— Jednakże...

— Nie staraj się mnie przekonywać mój dobrodzieju, bo mnie nie przekonasz a zaraz ci powiem dla czego. Moim dobrym znajomym urodziło się dziecko, a że pierwsze Bóg dał, nie wiedzieli co z nim robić mają. Dopóki *„nie mędrkowali"* chłopak był panie jak klusek, ale trzeba nieszczęścia, przyniosło złe do

---

ło rzeczą dla szanownego młodziana usunięcie swojej osobistości, aniżeli interes do ojca. W każdym razie czyn był prawdziwie śmiały, że nie powiem bohaterski. Bo wyobraźcie sobie, coby było w razie, gdyby tak papa znienacka się zjawił i bambusem zagrodził szanownemu donżuanowi drogę do odwrotu. Nie pozostałoby nic innego, jak powierzywszy swą doczesną powłokę łasce nieubłaganych żywiołów, najbliższą drogą na skrzydłach zefiru skomunikować się z bezpiecznem terytoryjum bruku podwórkowego, co przy niezbyt wydoskonalonych dotychczas środkach aeronautyki, nie byłoby rzeczą nader wygodną.

Jeszcze w kwestyi spraw erotyczno-estetycznych! Widząc często ciągnące ulicą długim sznurem młode latorośle płci żeńskiej, poświęcające swą główkę mozolnym studyjom naukowym, doznajemy rozkosznego prawdziwie uczucia. Miły bo widok przedstawiają te dziewczątka. Co za wesołość i pewność siebie, co za śmiałe i otwarte spojrzenia, co za pociesząjace zresztą rozmowy:

— Widzisz tego blondyna, ładny, prawda!

— Mów ciszej, bo guwernatka usłyszy!..

— E, co tam:—ona sama zerka oczami.

— Bo jej wolno!

— A nam dla czego nie, albożmy to nie dorosłe!

Tak silny głos protestu wyrwał się z ust czternastoletniej może liliputki. Nie, kochane robaczki! Pan Bóg stworzywszy pensyjonarki, przeznaczył je na doczesną pokutę nad książeczką. Skoro przeminie czas tej pokuty, wtedy dopiero dalej w świat, podziwiać blondynów, uwielbiać brunetów i zerkać oczkami na szatynów. Tymczasem nic nie pomogą skryte pragnienia budzącego się zbyt wcześnie serduszka, nic nie pomoże szczera a nieprzymuszona chęć do praktycznych studyjów nad estetyką i sprawami erotycznemi! Surowe oko przełożonej poskromi najgorętsze zapały. Biedne wy jesteście aniołki!..... Ale poczekajcie, przyjdzie czas, a powetujecie stracone chwile młodości!...

A teraz czytelnicy drodzy, obyczajem swoim podążymy na Wschód, w gorące objęcia młodzieńczej natury. Może zbyt monotonnym wyda się wam felijetonista, produkując dotąd przeważnie nowiny dziewiczego Wschodu, i w ogóle zbyt skromne zbierając okruchy z obcej niwy. Ale poczekajcie cierpliwie, niechno usuną się przeszkody, które nam stoją na drodze, a wkrótkim czasie przeniesiemy myśl waszę na szerszy daleko widnokrąg wielkiego świata. Tymczasem *feci, quod potui!* Więc posłuchajcie!

Japonija cywilizuje się na dobre. Nawet sztuki piękne zakwitną niebawem pod ożywczymi promieniami wschodniego nieba. Mikado zamierza podobno założyć w swym kraju szkołę malarstwa włoskiego, a tymczasem przyozdabia swą rezydencyją znakomitemi płodami sztuki europejskiej. Słowem, wkrótce do ucywilizowanego świata naszego przybędzie jedna jeszcze kraina.

Zamożniejsza młodzież Japońska ma podobno zamiar odbyć peregrynacyją do Europy, aby bliżej przypatrzyć się jej życiu. Nie wątpimy, że nie zapomni ona i o naszym zaścianku. Oczekujemy więc z niecierpliwością, z warunkiem jednakże, że w towarzystwie tem

domu jakąś książczynę p. t. „*Higijena dziecięca.*“ Że to jakiś doktór strasznie mądry pisał, jak się nie uchwycili tego, jak nie zaczęli dziecka kąpać, karmić a ważyć, ani na krok od przepisów nie ustępując—miesiąc nie upłynął — chlast... i „*dyjabli wszystko wzięli.*“ Odtąd Panie poprzysiągłem sobie żadnych z dziećmi komedyj nie wyprawiać. A Pan cóż mi powiesz na ten argument, mój dobrodzieju kochany?...

— Przypuszczam że istotnie synek pańskich przyjaciół padł ofiarą „Higijeny dziecięcej.“ Dla mnie rzecz to bardzo nawet jasna; książka choćby najlepsza może być drogocenną wskazówką, ale wskazówką tylko. Jeżeli przyjaciel pański nie umiał korzystać z „Higijeny“ jako z podręcznika, ale ją chciał całą żywcem w praktyce stosować, nie znając, bo za to prawie poręczyć mogę, ani natury ani potrzeb swojego dziecka, cóż dziwnego że popełnił szereg omyłek, które źle skończyć się musiały...

— Zapewne że jest w tem racyi trochę, ale zawsze ja przy swojem zostanę. Serce panie rodzicielskie to podręcznik najdokładniejszy, kto kocha dziecko ten wie co mu potrzeba.

— I to prawda, tylko że aby kochać dzieci...

— No, no, no, to i tego może uczyć się potrzeba?...

— Potrzeba umieć kochać, bo rodzice najlepsi niby pod każdym względem. — Rodzice, kochający dzieci swoje nad wszystko, postępują bardzo często tak jakby umyślnie pracowali na to aby potomstwo swoje unieszczęśliwić na całe życie...

— To już herezyja Dalibóg... której ja nigdy nie pojmę.

— Na poczekaniu nie rozstrzygniemy tej kwestyi, ale chętnie przy pierwszej zręczności podniosę ją w „Opiekunie.“

— Ciekawym — ciekawym, i choćby dla tego samego nie chcę już cofać przedpłaty, ciekawym co to za cudactwo znowu jakieś będzie.

Oto czytelnicy w skutku powyższej a ręczymy Wam nie zmyślonej bynajmniej rozmowy, dzisiejszy artykuł pedagogiczny nosi tytuł: „*Miłość Rodzicielska.*“

Co to znaczy kochać swoje dzieci?...

Kochać swoje dzieci to znaczy dobrze je wychować tak pod względem fizycznym jak moralnym. Dr. Chmielowski w dziełku swojem p. t. „*Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno*“ powiada: „Z dziecka nie mającego żadnej myśli, żadnego wyobrażenia, nie umiejącego władać własnemi członkami, rozwija się człowiek, obejmujący myślą swoją świat cały, pragnący ażeby wszystko co jest na świecie, szło na jego usługi, rządzący nie tylko sobą, ale i wielu innemi osobami. Nie z każdego dziecka można zrobić prawodawcę, ale z każdego stworzyć można dobrego syna czy córkę — dobrego męża czy żonę — dobrego ojca czy matkę — dobrego obywatela czy obywatelkę. Nie z każdego dziecka zrobić można bohatera, ale z każdego stworzyć można człowieka samodzielnego w uczuciach, zdaniach i czynach. Kto nie jest samodzielnym w uczuciach, zdaniach i czynach ten nie ma prawdziwego wychowania. Człowiek taki może być erudytem, a nie mieć zwykłego chłopskiego rozumu; może być czułym jak listki mimozy, a nie umieć w niczem pomódz cierpiącemu bliźniemu; może od świtu do nocy pracować w pocie czoła, a nic pożytecznego nie zdziałać.

Czy komukolwiek z nas nie zdarzyło się za zbyt nawet często niestety, spotykać takich poczciwców bezsilnych, takich pracowników bezpłodnych?..

Cóż jest tych smutnych skutków przyczyną? Wychowanie — nic innego jak wychowanie tylko. Miłość unosi tak Rodziców, że w stosunku do dzieci, rządzą się sercem wyłącznie, i tym krzywdę im robią na całe życie.

Rodzi się dziecię. Do 3—4 miesięcy a czasem i dłużej jeszcze, zakuwamy je w powijaki — chociaż sześcio-tygodniowemu malcowi nie podobają się już wcale podobne operacyje. Płacze i protestuje biedactwo przeciwko tej pieczołowitości naszej, nie zwracamy jednakże żadnej na to uwagi. Dla czego? Ha — boć w przekonaniu naszem zdrowie i szczęście dziecka wymaga abyśmy je spowijali. Gdyby nie to pokrzywiłyby mu się nożyny i maleństwo długoby chodzić nie mogło, a rączki, to także przecie związywać potrzeba, boć inaczej dziecko powydrapywałoby sobie oczy, lub co najmniej spać by sobie nie dało. Obawy podobne są w istocie rzeczy bezzasadne zupełnie. Nigdy nóżki nie krzywią się dla tego że dziecko powijane nie było, a z doświadczenia zapewniamy, że dzieci których niekrępowano zbyt długo, wcześniej daleko chodzić zaczynają. Żeby dziecko dotykając się twarzyczki snu sobie nie przerywało, sposób jest na to i łatwy i prosty — jest nim mianowicie częste obcinanie paznogci. Zbyteczna troskliwość każe nam także dzieci ubierać jak najcieplej, dla tego niby aby się nie przeziębiły. Wiadomo tymczasem że właśnie najczęściej chorują one z przeziębienia. Rzecz to zupełnie naturalna. Zbyt ciepłe ubranie przyzwyczaja skórę do ciepła i w skutku tego najmniejsza przemiana temperatury, najlżejszy przeciąg, szkodliwie nań oddziaływają.

W tym samym również celu to jest w celu ustrzeżenia dzieci od zaziębienia, popełniamy inny jeszcze ważny błąd higijeniczny. Jak rybie woda tak człowiekowi do życia potrzebne jest świeże powietrze. Nic tym czasem nie ochrania się skrzętniej od przypływu tych ożywczych strumieni jak pokój dziecinny. W pokoju tym na wiosnę znacznie później jak we wszystkich innych wyjmują się dubeltowe okna, w zimę nigdy się w nim prawie nie otwiera lufcika, ale za to opala go się jak tylko można najbardziej. Wszystko to robi się z przywiązania, z obawy aby niezaszkodzić dziecinie, a wszystko to właśnie do wręcz przeciwnych rezultatów prowadzi. Dziecko hodowane w ten sztuczny sposób, w swoim pokoiku zapewne że przeziębić się nie może, ale dosyć mu krok jeden po za próg tego gniazda postąpić — aby popaść w chorobę, a nieraz aby się stać ofiarą śmierci.

Oddychając stęchłem zepsutem powietrzem, dziecko nabiera owego słabowitego, bledziut-

---

znajdować się będą i nadobne dziewice Azyjatyckiej ziemi. A Japonijanki mają być podobno tak urocze, że wobec ich wdzięku zniknęłaby nawet krasa sławnych Warszawianek!

W *Chinach* i *Japonii* panuje gorączka tyfoidalna i ospa, przenosząc w krainę wieczności znaczną ilość ofiar. A wiecie, jak nazywają tę plagę wielcy uczeni Wschodniej krainy? Oto głoszą oni śmiertelnikom, że nawiedza ich „błogosławieństwo niebios,“ i niezbyt estetyczne zewnątrz na objawy ospy mianują „kwiatami niebieskiemi.“ A uwieńczeni niemi synowie i córy ziemi, wyprawiają się bez pomocy lekarskiej do krainy wieczności w błogiem przekonaniu, iż to stanowi najlepszy paszport do raju wiekuistego szczęścia.

Zdziwicie się może, jeżeli z krainy Wschodu przeniesiemy się nagle do naszej *Galilei*. Zdziwicie się bardziej jeszcze, jeżeli powiemy, że krainy te pod wielu względami są bardzo do siebie podobne, z tą tylko różnicą, że Japonija daleko prędzej się cywilizuje.

Cieszcie się zwolennicy spirytyzmu! Szlachetna idea wasza nie zaginęła jeszcze. Nie sądźcie, czytelnicy, abyśmy tu mieli na myśli pewną realną sferę obyczajowości prywatnej, wybryki której bywają zwykle uśmierzane przez najbliższą władzę policyjną. Sytuacyje podobne, jak również różnorodne ich skutki nie mają najmniejszego związku z wysokim nastrojem duchowości — zwolenników starej, ale pięknej idei filozoficznej. Tym, którzy słabe mają pojęcie o doniosłości tego systematu, przypominamy świetny odczyt jednego ze znakomitych literatów naszych, który miał miejsce przed kilku laty, a jeżeli nie mieli szczęścia słyszeć tego arcydzieła, żałujemy ich mocno.

Każde śmiałe wystąpienie w imię świętej idei, musi wywrzeć wpływ potężny. Otóż i w tym względzie, zacni obywatele Galilei, posłuchawszy zapewne głosu szanownego apostoła, zakładają u siebie czasopismo, mające za cel propagandę idei spirytystycznej. Cześć ci, o szlachetna kraino!

Żeby to u nas tak słuchano głosu zacnych agitatorów! Tymczasem projektomanija nasza do tego stopnia wyczerpała wszelkie potrzeby społeczne, iż pragnąc zostawić coś do zrobienia i późniejszym pokoleniom, nie kwapi się zbyt pospiesznie do wcielenia w czyn różnorodnych zamiarów. Jeżeli dojdzie do uszu twoich, łaskawy czytelniku, że pewne grono szlachetnych agitatorów myśli o założeniu jakiej pożytecznej instytucyi, to możesz być przekonym, iż ani ty, ani synowie twoi korzystać z niej nie będziecie. Musimy przedewszystkiem myśleć o przyszłości, aby dalekie pokolenia błogosławiły nas, wcielając w czyn myśli nasze.

Oddawna już zapewne słyszeliście o zamiarze założenia u nas *wyższej szkoły handlowej*. Debatowano o tem bardzo wiele, aż wreszcie po długich naradach odłożono sprawę *ad acta* powierzywszy rzucone ziarno opiece przyjaznych wiatrów. Teraz znowu coś w tej sprawie przebąkują. Czekajmy więc cierpliwie, napawając się tymczasem miłym widokiem szlachetnej młodzi kupieckiej grodu naszego!

---

kiego wyglądu, jaki tak często widzieć można między wiejską młodzieżą zwłaszcza.

Czyżby nie właściwiej było dla uchronienia dziecka od zbytecznej wrażliwości skóry, przyzwyczajać je od pierwszych chwil życia do temperatury umiarkowanej? Nie chodzi nam tu bynajmniej o tak zwane hartowanie dzieci, owszem jesteśmy mu nawet przeciwni. Z małem dzieckiem potrzeba postępować nadzwyczaj ostrożnie, więc ani je zbytecznie rozpieszczać, ani na żadne przeciwne próby wystawiać się godzi. Nazwyczajanie dzieci do temperatury umiarkowanej jest owym środkiem błogosławionym, który rodzice zachowywać powinni. d. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

— No teraz poznaję już drogę na pewno, oprócz śladów wózka są rzeczy daleko jeszcze pewniejsze.

Co, zapytałem — jakież tam masz znowu wskazówki?..

— Wodę widzę, odpowiedział stary. Gdybyś był kapitanie dobrze się przypatrzył, odrazu byłbyś wiedział że tędy jest nasza droga. A co czy słyszysz pan teraz?...

Rzeczywiście posłyszałem w tej chwili jakby szmer małego strumyka, spływającego po gruncie pochyłym i kamienistym.

— Masz racyją przyjacielu odpowiedziałem ale jakże nas woda doprowadzi do celu?...

— Oho! odrzekł Rube, ten strumyk niepozorny doprowadzi nas do rzeki, a gdy się tam dostaniemy bądźcie spokojni ja zaręczam wam za resztę. Przeklęty deszcz opłukał nas nie na żarty.

Strumyk płynął w kierunku którym przed chwilą obrali— a wkrótce zobaczyliśmy że nam przeciął drogę w kształcie ostrego zęba. Idąc ciągle za biegiem jego, byliśmy już prawie pewni że się dostaniemy do rzeki. Wkrótce tak się też stało.

W jaką godzinę potem wyszliśmy z lasu na gościniec prowadzący do wioski.

Kilka minut jeszcze a będziemy na miejscu. Kiedy rozmyślamy nad tem, co to będzie za satysfakcyja zrzucić z grzbietu zmoczone szmaty i dostać się do łóżka—zatrzymało nas głośne wołanie szyldwacha.

— Kto idzie?...

— Swój odpowiedziałem. To my Elijaszu Quakenboss.

Poznałem głos żołnierza-botanika, a przy świetle błyskawicy ujrzałem go opartego o pień drzewa.

— Stać i hasło, zawołał!

Rozkaz był stanowczy a na nieszczęście hasła nie wiedziałem.

Wyjeżdżając konno nie pomyślałem, że mi się przyda na co podobna wiadomość.

Postanowiłem spróbować jeszcze szczęścia.

— Nie wzięliśmy hasła kochany Elijaszu, ale to ja w swojej własnej osobie i wymieniłem tytuł swój imię i nazwisko.

— To bardzo wszystko być może odpowiedział szyldwach z widocznie nadąsaną miną ale na nic się zupełnie nie zdało. Bez hasła nie wchodzi się do obozu.

— Ależ głupcze zawołał Rube rozgniewany, toż to kapitan wasz i dowódca.

— Może być odpowiedział niewzruszony żołnierz—Ojej! może być i jak jeszcze nawet... ale mimo to nie przepuszczę...

No to i nowy i wcale nie mały kłopot, pomyślałem sobie.

— Poślej po kaprala albo po jednego z adyjutantów, odezwałem się do uparciucha, myśląc że będzie to najkrótszy sposób wyjścia z trudnego położenia.

— Dobrze tylko nie wiem kogo, odezwano się z pośród ciemności.

— Chcesz to ja pójdę, zawołał żywo Garej.

Mój naiwny traper był przekonanym że nie powinien mieć żadnej przeszkody w poniesieniu mojego rozkazu do kwatery głównej i postąpił już kilka kroków ku szyldwachowi.

Ale Quakenboss krzyknął natychmiast piorunującym głosem:

— Stój—i ani jeden krok dalej — bo cię przyjmę kulką!

— A to pięknie! wrzasnął Rube poskoczywszy naprzód —tybyś do Gareja strzelił, ty przeklęta ośla głowo. Gdybyś się odważył z pewnością ostatni raz w życiu przyłożyłbyś swoją niezdarną łapę do kurka. Przypatrzno się tylko... I mówiąc to Rube podniósł groźnie w górę karabin.

W tej krytycznej chwili błyskawice rozjaśniły ciemność i przy jej świetle spostrzegłem że szyldwach trzyma również broń ku nam wymierzoną; zanadto dobrze znałem celność jego strzału, abym nie zadrżał nad rezultatem tego nieporozumienia.

Pobiegłem nieco naprzód i krzyknąłem jak mogłem najgłośniej:

— Zatrzymaj się Quakenboss, nie strzelaj— będziemy czekać cierpliwie póki kto nie nadejdzie!

Jednocześnie uchwyciwszy dwu towarzyszy za ręce pociągnąłem ich w tył.

Czy to w skutku nakazującego mojego głosu czy też że przy świetle Quakenboss poznał mnie już także—nie wiem, ale wiem że opuścił broń do nogi co mnie uspokoiło niezmiernie.

Ale przejścia odmawiał nam uparcie.

Nierozstropnie by było przeciągać sprzeczkę która doprowadziła by tylko do wzajemnej wymiany komplimentów niezbyt grzecznych, to też uspokoiwszy traperów, postanowiłem czekać na jaki pomyślniejszy wypadek.

Niezbyt długo czekać mi na to przyszło, bo wkrótce jeden z szeregowców pokazał się niezbyt daleko.

Quakenboss go przywołał a ja poprosiłem iżby udał się do kaprala.

Przybycie tego ostatniego położyło koniec przygodzie i dostaliśmy się na plac nareszcie, Rube tylko przechodząc obok sprężystego służbisty odezwał się doń pół głosem.

— Dyjabelska ośla głowo gdybym cię był spotkał na stepie, zobaczyłbyś szelmo dopiero.

ROZDZIAŁ XLVII.

Pożegnanie.

Przez całe pół miesiąca używałem niezrównanego szczęścia. Prawda, w miłości naszej miewaliśmy chwile smutku ale smutek ten łagodziła zwykle pewność że się wkrótce zobaczymy znowu. I nigdy nie rozstawaliśmy się bezzapewnienia—rankiem że się zobaczym z wieczora, a wieczorem że się tylko do jutra rana rozstajemy.

Ale szczęście prawdziwe nie bywa zbyt trwałe, jak sam wkrótce przekonałem się o tem. Nadszedł krytyczny czas w którym musiałem opuścić Isolinę na czas nieograniczony, na czas dopóki się wojna nie skończy.

Ja biedny wychodziec nie mogłem, nie śmiałem żądać ręki pięknej i bogatej dziedziczki. Ale choć majątkiem nie dorównam jej nigdy— dobra opinija tyle waży co bogactwo, a sława idzie w parze z pięknością. Byłem przekonany że posiadam pewne zdolności, serce wrzało najśmielszemi żądzami, przy boku wisiał pałasz dobrze wyostrzony — droga do honorów otwartą mi była na roścież.

Kto to wie może zapracuję na coś — może powrócę z głośniejszym tytułem jakim, a wtedy

Mimo owych świetnych marzeń, ciężkie to było dla mnie rozstanie.

Co to za boleść straszna, być błaganym o pozostanie i nie módz temu zadosyć uczynić. Co za żal ciężki wyrywać się z tych serdecznych objęć, co za rozpacz wymówić ostatnie słowo pożegnania.

Miejsce w którem poprzysięgliśmy sobie miłość i wiarę, opuszczaliśmy teraz w pośród szlochań i łez.

Kiedy Isolina znikła po za gałęziami które mi ją zasłoniły na długo, zdawało mi się że słońce świecić też jednocześnie przestało.

Nie ociągałem się więcej, chociaż bym chętnie pozostał w tem miejscu tak drogiem. Obowiązek mnie wzywał a pan to potężny i surowy. Słońce miało się zresztą ku zachodowi, a o świcie trzeba było pomaszerować z oddziałem w drogę.

Zwolna ze smutnie zwieszoną głową posuwałem się po drodze. Isolina odjechała w przeciwną stronę przez małą wąską ścieżkę prowadzącą w prost do haciendy.

Umyślnie rozdzieliliśmy się w ten sposób, aby nas nie spotkano razem — chociaż dawniej ostrożności te wydawały się nam zbyteczne, bo w dzikiej okolicy jakąśmy przebywali trudno gdzie jak się zdawało, żywą duszę napotkać. Myśleliśmy zawsze, ba byliśmy najsilniej przekonani nawet że nasze miejsce schadzki pozostało w tajemnicy głębokiej, przekonałem się jednak niebawem że nie koniecznie tak było.

W smutnym dniu żegnania się z Isoliną, doszedłem przypadkiem, ze nasz sekret nie był dla wszystkich sekretem, że moi towarzysze broni a nawet mieszkańcy wioskowi wiedzieli coś o tem.

Tak objaśnił mnie Wheathlej, któremu znowu powiedziała to Conchita. Wheathlej zauważył przytem po przyjacielsku, że nie ostrożnie robię, oddalając się tak daleko od głównej kwatery, sam bez żadnej eskorty.

Byłbym chętnie zapewne skorzystał z tej rady, gdyby nie to że z woli losów, nasze dzisiejsze spotkanie z Isoliną miało być—Bóg wie na jak długo ostatniem. Ścisnęło mi się serce na to smutne wspomnienie. Na co mi ekskorty pomyślałem, kiedy mi tak samotności potrzeba. Zresztą kogoż się mam obawiać?..

Iżurry nie było w okolicy, nikt go nie widział przynajmniej od czasu ostatniej owej nocnej porażki, a nawet były wiadomości pewne, że połączył swoję bandę z gierylasami sławnego Canalis, znajdującego się obecnie między Camargo i Monterej. Z pewnością gdyby nędznik ten był tutaj, Holingsworth i szeregowcy którzy nań dzień i noc czyhali, byliby go już mieli w swym ręku.

Miałem już skręcić aby zwrócić na zwykłą swoję drogę — gdy taki mnie wielki smutek ogarnął iż postanowiłem za jakąbądź cenę raz jeszcze ujrzeć ukochaną.

W tej chwili musiała być już w hacyjendzie; pojadę pod samym domem, może ją zobaczę na tarasie, może raz jeszcze spotkam jej spojrzenie, może raz jeszcze posłyszę ciche a serdeczne „Va con Dios!“

Koń mój odgadł widocznie moje myśli, bo nie czekając abym nim pokierował, puścił się drogą którą odjechała Isolina.

Wkrótce znalazłem się u stóp pagórka i wjechałem w gęste zarośla. Drogi utorowanej nie było, ale znać było ślady białego rumaka, a to wystarczało zupełnie.

Nie zrobiłem więcej nad pięćset kroków, gdy na raz usłyszałem w lesie głosy jakieś, i jak mi się zdawało nie bardzo nawet od siebie daleko.

Zatrzymałem się machinalnie i nadstawiłem ucha...

Głos był kobiecy — poznałem go odrazu. Jak wreszcie poznać go nie miałem, gdy nie było na świecie drugiego takiego srebrzystego brzmienia.

Jak mogłem go nie poznać gdy mi w sercu drgały jeszcze słodkie i smutne słowa pożegnania.

Kobieta przestała mówić.

Wytężyłem słuch z całej siły, żeby posłyszeć głos co będzie jej odpowiadał. Spodziewałem się rzecz prosta że będzie to mężczyzna, ale nie spodziewałem się nigdy tego abym posłyszał to co posłyszałem.

Tym co odpowiadał Isolinie był nikt inny jak Rafael Iżurra w swojej własnej osobie...

ROZDZIAŁ XLVIII.

Groźba.

Zanadto dobrze znałem ten głos nikczemny, abym się mógł pomylić.

Jakieś nieopisane uczucie owładnęło mnie w tej chwili. Nie była to zazdrość, bom zanadto ufał Isolinie iżbym miał zazdrościć, ale ze wstydem przyznać to muszę, było to coś bardzo podobnego do zazdrości.

Pomimo wszystkiego co zaszło, pomimo westchnień, łez i przysiąg, byłem zazdrosnym o Iżurrę!

Na usprawiedliwienie swoje, to tylko powiedzieć mogę, że owe myśli brzydkie trwały bardzo krótko, chociaż i w tem nie moja także zasługa.

Zazdrość która się we mnie zbudziła, podsunęła mi pewną myśl złośliwą.

Zesunęłem się wolno z siodła i jak jaguar jaki ślizgałem się po cichutku, i zbliżałem do rozmawiających.

Moro wytresowany jak należy stał spokojnie na miejscu, chociaż nie był przywiązany i mogłem być oń spokojny, wiedziałem że swojem zachowaniem się nie zdradzi mojej obecności.

Posuwałem się wolniutko, uchylając ręką gałęzie.

Liście palmy sprzyjały mi bardzo bo tworzyły doskonałą zasłonę, po za którą najbystrzejsze oko nic zobaczyć nie mogło.

Znalazłszy się nakoniec po za ostatnim rzędem drzew rosnących do około polanki, przez szpary pomiędzy liśćmi zobaczyłem moję narzeczoną i jej kuzyna Rafaela Iżurrę.

Isolina siedziała na koniu, Iżurra stał przy niej, jedną ręką oparty o kulę siodła, drugą przytrzymując uzdę.

Aż dotąd serce biło mi gwałtownie, teraz gdym zobaczył postawę mojego niby rywala i wyraz dzikiego gniewu na jego twarzy, odetchnąłem piersią całą.

Spotkanie było przypadkowem, Isolina gwałtem zatrzymywaną została.

Nie mogłem dojrzeć jej twarzy, bo się zwróciła w stronę Iżurry, ale głos jej dochodził mnie dobrze.

Słuchałem zachwycony tego głosu pełnego oburzenia! miał on dla mnie więcej uroku jak najcudniejsza melodyja!..

Nie wiedziałem jeszcze nic o co chodziło właściwie, bo gwałtowne bicie serca, szelest liści pod nogami, szmer gałęzi które uchylałem w przechodzie, nie pozwolił mi uchwycić samego wątka rozmowy.

d. c. n.

Człowiek kopalny.

Ślady prastarej metryki człowieka. — Podział warstw ziemnych. — Wykopaliska z epoki kamiennej. — Szczątki człowieka pliocenicznego znalezione w Obozowisku Aniołów. —Kości z epoki diluwijalnej.— Słynna czaszka Neanderthalska. — Spór o nią między przyrodnikami. — Odkrycia poczynione w grocie Aurignac. — Jaskinia Cro-Magnon. Wiek rena. — Okazy pochodzące z grot Eyzies.— Mussat, Schussenried i Madelaine. — Skielet z Mentony. — Epoka kamienia gładzonego. — Kult tegoż kamienia. — Kjoekhen-moeddlingsy. — Ludożerstwo. —Torfowiska Danii.—Sosny, dęby i buki.-- Miasta nawodne. — Odkrycia Kellera w jeziorze Meilen. — Rasy. — Języki i mytologija. — Egipt. Starożytność piramid. — Epoka bronzu. — Co wiemy o Celtach. — Palenie zwłok ludzkich. —Skielety Inflandzkie. — Epoka żelaza. — Tradycyje historyczne. — Grobowiska Halstadtu. — Rzut oka wstecz. — Obyczaje ludów pierwotnych. — Zawiązek instytucyi małżeństwa. — Chronologija geologiczna. — Słówko w sprawie przeszłości naszych praojców. — Cyfry pozostawione do zsumowania czytelnikowi.

(dokończenie)

Pierwszym metalem znanym w Europie i Azyi było złoto. W piaskach rzek, blask jego zwracał uwagę ludów pierwotnych.

Co do srebra, to jakkolwiek znachodzi się niekiedy w stanie rodzinnym, najpowszechniej wszakże mieści się w rudach ołowianych. Nie ulega też kwestyi że śpiż przed tym metalem był poznany. Po odkryciu srebra metal ten rozpowszechnił się szybko w Egipcie i Azyi Mniejszej, współzawodnicząc ze złotem w wyrobie naczyń i puharów królewskich. Daleko później w Europie zaczęto użytkować ze srebra.

Bronz jest stopem dwóch metalów miedzi z cyną, w stosunku 9 części miedzi na 1 część cyny. Żelazo jest metalem samorodnym. Na pozór mogłoby się zdawać, że niepodobną jest rzeczą, aby mieszanina dwóch metalów pierwej była poznaną niż metal pojedyńczy. Zwróćmy jednak uwagę na to, że żelazo w rudzie zawarte wymaga trudniejszych operacyj metalurgicznych, niż otrzymanie bronzu który można było pozyskiwać poprostu przez przetopienie z węglem, rud zawierających miedź i cynę. Taki też proces utrzymywał się bardzo długo.

Historycy wcale nie właściwie przypisują ten wynalazek Celtom, i do ich czasów odnoszą najstarożytniejsze pomniki, które w rzeczywistości sięgają końca epoki dimojalnej.— „Celtowie, powiada Broca, zajmowali największą część Europy. Wyobrażamy sobie że lud ten rozszerzył się jak potop na naszym lądzie stałym — nikt nam jednak nie wskazał gdzie istniał pierwotnie wielki naród Celtycki, który wylał na Europę milijony wojowników. Co do mnie, upatruję w tem prostą wędrówkę ludu pasterskiego i wojowniczego — który przebył Kaukaz, być może Helespont, osiadł wraz z trzodami na małym płacie Europy, ujarzmił mieszkańców, potem się z niemi połączył, narzucił im swą narodowość, język, i zaszczepił swą wiedzę i obyczaje. Później z tego ogniska wystąpiły znowu zastępy Celtów, przenosząc w inne kraje język i cywilizacyją azyjatycką.“

Pogląd p. Broca jest może najprawdopodobniejszym, lecz nie wyjaśnia wcale pochodzenia czysto azyjatyckiego mniemanych Celtów.

Wypadałoby raczej upatrywać w Celtach typ wązkogłowy północy, który przeniósł się na brzegi morza Czarnego i w inne miejscowości. W żadnym razie owi Celtowie nie zapoznali Europy z bronzem, gdyż w Morges w torfowiskach doliny Soumne, w Danii, Szwecyi i wielu innych miejscowościach, znaleziono narzędzia i naczynia dość niekształtne posługujące do fabrykacyi bronzu. W tym przedmiocie Aleksander Bertrand złożył Akademii Paryzkiej w końcu 1873 roku notę w której dowiódł, że wynalazcami bronzu nie byli ani Celtowie, ani Fenicyjanie. O istnieniu epoki bronzowej w Europie przekonywają nas liczne wykopaliska, a mianowicie szwajcarskie. W kraju tym wykryto topory bronzowe kształtowane na wzór krzemiennych, noże, dłuta stolarskie, młoty, sierpy, haki, manele, pierścienie, zausznice, brzytwy, iglice, szpilki z główką okrągłą, płaską, lub zaopatrzone w sprzączkę do wpinania we włosy i t. p. Miecze, sztylety bronzowe odznaczały się szczególniej misterną robotą.

Przedmioty te wskazują pewien rozwój przemysłu i rolnictwa; owies pierwszy raz przeja-

wia się w tym czasie. Podobne wyroby znachodzimy w kurhanach Skandynawii. Groby z tej epoki mówią nam o sposobie grzebania ciał zmarłych. W drugiej połowie wieku bronzowego zwłoki ludzkie palono, a spopielone szczątki zawijano w całun. W późniejszym czasie prochy pochodzące z nieboszczyka pomieszczano w urnach. Waldemar Schmidt w 1861 roku, w dwóch wysypach około Kongeaa w Jutlandyi, wykrył zwłoki ludzkie pomieszczone w wytwornej trumnie dębowej. Skielety były prawie całkiem zniszczone przez wilgoć która jednak nie naruszyła odzieży. Ta składała się z rodzaju tuniki wełnianej, z ubrania spodniego jakie znajdujemy na miniaturach wojowników z czasów Karlowingów, oraz z czapki, płaszcza i chustki. Obok trupów spoczywały miecze bronzowe w pochwach drewnianych, noże z tegoż metalu, grzebienie, kubki, małe skrzynki drewniane, kawałki cyny i ostrza krzemienne od włóczni. W Zaborowie w prowincyi Poznańskiej znaleziono mnóstwo urn pogrzebowych z gliny wyrobionych, tudzież kamienie wykształtowane w postaci jaja. Widocznie służyły one za symbole pokarmu. Zwyczaj palenia zwłok trwał we Włoszech i Grecyi w ciągu całej starożytności.

Niewiele posiadamy danych o epoce żelaznej, bądź co bądź nie wszystkie narody jednocześnie poznały żelazo i z niego użytkowały. W Danii epoka ta przypada w czasie krzewienia się brzóz zastąpionych następnie przez buki, o których pamięć ludzka nie przechowała żadnego wspomnienia. Żelazo wynalezionem zostało według podań historycznych w Chinach za cesarza Fu-hi na 3000 lat przed Chrystusem. Grecy przypisują Minosowi I na 1437 lat przed Chrystusem wynalazek żelaza, które zresztą dobrze było znanem podczas wojny Trojańskiej. Według Subbcka jednak Grecy poznali ten metal na 2000 lat przed Chrystusem—takiej bowiem daty sięga legenda o Prometeuszu, który posiadał kuźnie w Scytyi.

Grobowiska Hallstadt, w bliskości Salzburga w Austryi wykryte należą do epoki żelaznej najstarożytniejszej, gdyż obok wielu przedmiotów żelaznych Ramsauer wydobył z nich 182 naczyń bronzowych rozkopawszy 903 grobów. Nie znalazł w nich żadnej monety ani srebra, natomiast w obfitości ozdoby złote, rękojeście mieczy z kości słoniowej, bransolety wytwornej roboty z bronzu i t. p. W Szwajcaryi jak się zdaje wiek żelazny odpowiada epoce etrusków we Włoszech. W okresie metalów ludy na wodach zamieszkałe zajmowały, według p. Garrigow, ogromną przestrzeń kraju od morza Śródziemnego do Oceanu.

W wieku żelaznym broń została znacznie już wydoskonaloną, rolnictwo więcej rozwiniętem, środki do życia obfitsze, pociąg do rabunków ponętniejszym, węzły społeczne silniejsze. W tym to czasie nastąpiło wielkie wtargnienie od północy na południe i od wschodu na zachód Gallów do Francyi i Pirenejów. Z pomieszania się krwi zdobywców z krajowcami wystąpiła rasa Akwitańska w stronie południowo-zachodniej Galii, rasa czarnowłosa, gdy tymczasem wreszcie pozostałej Galii utrzymywała się rasa Celtycka blond-włosa, która rozszerzyła się w Brytanii, Irlandyi, Hiszpanii i we Włoszech. Dla Indyi, naznacza Rodier 3000 lat przed Chrystusem, jako datę od której zaczyna się historyja tego kraju.

Zbierzmy teraz główne zarysy ludności pierwotnej, jakiej ślady napotkaliśmy już w miocenie. Człowiek w właściwem znaczeniu tego słowa, występuje dopiero wyraziściej w epoce plioceniecznej.

Następuje okres lodowy — ląd a raczej wyspy lądu europejskiego obejmuje całun zimy. Człowiek walczy z zimnem, z wrogiemi mu zwierzęty, utrzymuje się potęgą bohaterskich wysileń i walk homerycznych. Nie była to wcale jakbyśmy z pozoru sądzili istota słaba i niedołężna, przeciwnie człowiek owoczesny, przedstawiał kształty atletyczne, a w dzikości dorównywał zapewne zwierzętom.

Tym ludom nieprzystępnym dla naszych oczu, włochatym, silnym, nieustraszonym zawdzięczamy nasz byt w epokach późniejszych—i całą potęgę tego słowa: ludzkość!

Jeżeli zwrócimy uwagę na ten fakt że orangutang osłania się w nocy liściami pandanu, dla czego mamy odrzucać przypuszczenie, że człowiek pierwotny przyodziewał się skórami zwierzęcemi? Najwyraźniej używał tego środka gdy skóra jego ciała pozbawioną została włosa. Nie ma nic niepodobnego do wiary w przypuszczeniu, że ciało człowieka plioceniecznego porosłe było całe włosem. Dość tu nam przytoczyć, że na wyspach Kurylskich mających klimat prawie nie różniący się od cechującego Kamczatkę, Ajnosy, nieliczny lud północny, mają na całem ciele pęki włosów.

O tem podają nam Vogt i Quatrefages. W obec tych faktów czemże są gadaniny deklamatorów, według których człowiek wyszedł z rąk Stwórcy odrazu piękny i kształtny jak Eudymijon, rozumny jak Jowisz olimpijski moralny jak Sokrates lub Platon.

Archelogija przedhistoryczna przedstawia nam człowieka całkiem inaczej. Walczył on ze zwierzęty używając w pomoc najpierw szczęki niedźwiedziej później topora krzemiennego, karmił się mięsem surowem i mózgiem ofiar który dlań widocznie jest przysmakiem. W braku pożywienia staje się ludożercą. Taki nam obraz istoty ludzkiej kreślą przyrodnicy, opierający swój pogląd na kraniologii i szczątkach kopalnych pochodzącycłi z tego pradawnego okresu. Takim był człowiek którego czaszkę przechowała nam jaskinia Neaudert-halska.

Zwolna, stopniowo typ ludzki rozwija się, doskonali i uszlachetnia pod względem fizycznym i umysłowym. Potrzeba uczy go wynalazków, daje mu w rękę ogień, sposób kształtowania naczyń i narzędzi — zniewala go do posługiwania się mową członkowaną, do łączenia się w towarzystwa, gdyż walcząc gromadnie, siłą zbiorową, może pokonywać najgroźniejsze zwierzęta.

Po rasie wązkogłowej przychodzi szerokogłowa — typem pierwszej są czaszki doliny Renu, drugiej szczęka z Ero-Magnon wydobyta. Rasa z Furfoor należy już do epoki rena.

Obyczaje ludów z epoki kamiennej niewątpliwie były dzikie. Kobiety były wspólną własnością gromady, jak to dziś jeszcze ma miejsce u pokoleń dzikich. Branki wojenne należały do tego wojownika który je w boju pozyskał — w węzłach tego rodzaju tkwi pierwszy zawiązek instytucyi małżeństwa.

Wojownicy przecież prawo to musieli drogo okupywać, gdyż było ono odstępstwem od przyjętego zwyczaju. Branka też należała przedewszystkiem do wodza zwycięskiego pokolenia. Nie możemy się temu dziwić, gdyż wiadomo nam z historyi o świątyniach Wenery w Babilonie, do których udawać się było obowiązkiem dziewic, zabierających się do stanu małżeńskiego. Zresztą podobny zwyczaj istniał tak w Armenii jak i w Kartaginie, u Lydyjczyków i Traków. Nadto zwyczaje takie znachodzimy w czasach feodalnych Europy.

Człowiek w stopniowych rozwojach dochodzący do szczytu potęgi, do prawa własności, do mistrzostwa w sztukach i naukach, nie jestże bohatem, kolosem którego tytanowej pracy cześć się należy. Jakaż byłaby jego zasługa, gdyby zajął od razu to stanowisko tak poczestne, podniosłe, bez trudów i walki, uposażone od natury we wszelkie dary wrodzone? Historyja kamiennej epoki jest wzniosłą pieśnią bohaterską, i nie potrzebujemy jej się wypierać, gdyż strofy jej oddają najwyższy hołd niezłomnej pracy człowieka i jego zasłudze.

Zamykamy niniejszy szkic historyi ludów pierwotnych chronologiją opartą na danych geologicznych, najjawniej okazującą starożytność rodu ludzkiego—podstawę tej chronologii przedstawiamy na przykładzie. Według Boucher de Perthes'a, torf doliny Somme dochodzi 2 metrów grubości czyli 100 centymetrów. Przyjmując przyrost warstwy torfowej w ciągu wieku na 3 centymetry — tylko, otrzymamy z podzielenia 200 przez 3 liczbę $66^2/_3$ wielkości czyli 6666 lat, wyrażającą czas jakiego potrzebowały torfowiska doliny Somme do nabycia dwumetrowej grubości. W podobny sposób obliczono że wiek delty Missisipi wynosi 158000 lat.

Owoż według tej zasady, wiek epok geologicznych, w których natrafiono na ślady bytu człowieka, przedstawią nam następne cyfry oparte na przybliżonem obliczeniu Lyella, Hamego, Huxleya i innych znakomitych przyrodników.

Upływ czasu od epoki miocenicznej do pliocenu wynosi lat	680,000
Epoka plioceniczna	20,000
Okres lodowy	224,000
„ polodowy	100,000
Wiek kamienia gładzonego	12000
Wiek bronzu	4000
„ żelaza	2000

Zamiast sumy prosimy czytelnika, aby miał odwagę dodać do siebie te cyfry — my wypisując je spełniliśmy nasze zadanie.

d. 9/4 75 r.

Wincenty Niewiadomski.

KRONIKA PARYZKA.

Z nad Sekwany.

I.

Paryż. Marzec.

Nowa Opera. — Ceci a tué cela. — Epoka Odrodzenia i gotyk. — Św. Magdalena. — Freski Pawła Baudry. — Trzy szkoły malarskie. — „Pasterze“ Baudry. — „Korespondencyja“ Proudhona. — Zabawy w Paryżu. — Wyścigi. — Kodeks salonowy z porcelany chińskiej.

(dokończenie.)

W postaciach męzkich Baudry jest najzupełniej już nowoczesnym. Herkulesy czasów heroicznych, którzy z potworów oczyszczali ziemię, atleci heleńscy, których wieńczono na igrzyskach olimpijskich, wreszcie palatynowie okuci w żelazo w XV wieku, przeminęli niepowrotnie dla p. Baudry. Artysta ten w postaciach męzkich pomija siłę muskularną a doszukuje się siły nerwowej. Wyprężone i nabrzmiałe muskuły Herkulesa farnezeńskiego, albo Chrystusa skazującego potępionych w *Sądzie ostatecznym*, nie przemówiły bynajmniej do duszy naszego malarza. Woli on *Perseusza* Celiniego, a bardziej jeszcze niezrównanego *Dawida* Donatella. Jednem słowem Baudry poszukuje typy dwupłciowe w nagich postaciach ludzkich. Maluje on mężczyznę w smukłej jego młodzieńczości, kobietę zaś w dojrzałości pełnej. Mężczyzna u niego wyobraża wdzięk w pozornej wątłości; kobieta zaś wdzięk w swojej potędze i majestacie *kobiecym*. Porównajmy naprzykład obraz p. t. *Pasterze* (o których jeszcze wspomnimy) gdzie kobieta doi trzodę, a mężczyzna wygrywa na fletni, a przekonamy się o artystycznem traktowaniu płci obojga przez Pawła Baudry. Wogóle wszystkie plafony i owale tego malarza potwierdzają to przekonanie w najrozmaitszych odmianach *siły* niewieściej i męzkiego *wdzięku*.

Do najpiękniejszych dekoracyi p. Baudry należą *Pasterze*, wyobrażający poezyją sielankową. W dolinie pełnej świeżości niby w wiosce efezkiej, opiewanej przez greckiego Longus'a spoczywa grupa pastuszków i kozopasów — trzoda zaś ich pasie się w oddali. Młodzi pastuszkowie ugrupowani pod drzewem zielonem sprzeczają się o pierwszeństwo w grze. Na pierwszym planie na prawo młoda kobieta przyklęknąwszy doi owieczkę. W głębi pastuszek zwołuje odgłosem trąbki woły rozproszone. Jestto scena istnie antyczna. Płynie z niej wrażenie spokoju i zadowolenia, przymiotów rzadkich w gorączkowych dziełach sztuki nowożytnej. Niema tam ani jednego ruchu wymuszonego, ani jednego gestu wyszukanego, ani jednej hałaśliwej nuty. Panuje tu istotna harmonija w kształtach, w ugrupowaniu i w kolorycie. Osoby trzymane w tonie matowym, odznaczają się czystością rysunku i wypukłością w modelowaniu. Obnażona niewiasta, na klęczkach, przedstawiona z profilu jest typem piękna i zachwytu. Sam krajobraz, pełen czułej zieleni, z błękitnawą i zatapiającą się perspektywą ujmuje nas świeżem i dziewiczem powietrzem swojem.

Są więc między nowemi produkcyjami Baudry obrazy pierwszorzędnego znaczenia. Nie spotkały jednak artystę jednozgodne hymny uwielbienia. W sztukach pięknych bowiem, zarówno jak w poezyi, jest jeden warunek znamionujący genijalnego twórcę. Jestto warunek będący wrodzoną własnością wyjątkowych temperamentów. Mówimy tu o *prostocie*. Artysta może wywołać efekt największy środkiem najprostszym, jeżeli został obdarzony od natury niekłamaną *twórczością*. Kształcenie się pierwotne na wzorach innych mistrzów nie ubliża nikomu. Jednakże dusza twórcza posiadła od natury pewien zasób siły, która nie tylko, że nie ulegnie innym produkcyjom, ale je zaasymiluje i na swoję oryginalną obróci korzyść; są to dla niej raczej opiłki dyjamentowe, któremi oszlifuje i wydoskonali brylanty własnego pomysłu.

Baudry nie posiada ani owej prostoty ani stanowczej oryginalności. Są tam raczej rzeczy obliczone na efekt, budzony pysznym kolorytem i rysunkiem bardzo poprawnym. Wiele dał artysta swego; nie mało też zapożyczył u mistrzów, których ukochał. W każdym razie freski francuzkiego malarza należą do najpiękniejszych dzieł sztuki z ostatniego dziesięciolecia, przynoszą niezwykły zaszczyt artyście, a dodają dużo blasku plafonom i ścianom które przyozdobił.

Ósmy tom *Korespondencyj* Proudhona wkrótce się ukaże. Wydawnictwo to znaczne ma powodzenie, czemu się zresztą dziwić nie wypada. *Korespondencyja* Proudhona posiada zarówno interes literacki jak i historyczny. Mamy tu bowiem poufne zwierzenia i myśli człowieka, którego działalność pisarska nie powstała bez wpływu na epokę naszą. Mimo względnej wartości pojęć Proudhona, nikt mu odmówić nie może potężnego talentu. *Korespondencyja* jego pełną jest ciekawych listów, szczegółów pikantnych i oryginalnych sądów. Pragnę zapoznać czytelników „Opiekuna“ z jednym listem, w którym Proudhon kreśli pewną ilość pojęć o miłości i małżeństwie. List ten podamy zresztą w streszczeniu jako zbyt obszerny i przeplatany szczegółami osobistemi piszącego. Jestto list pisany do młodego przyjaciela, któremu udziela rad zdrowych i zajmujących.

Pragniesz napisać książkę, biedny mój przyjacielu, aby skrytykować Micheleta „O Miłości,“ a nie spostrzegasz, że jesteś równie jak on zakochany. To co cię irytuje przeciw niemu jest to właśnie twoje własne nabożeństwo do kobiet. Kult twój w tym względzie opiera się wprawdzie na innym ideale; jest on nie mniej jednak złym duchem.

Pozwolisz tedy, że będę względem ciebie otwartym. Winieneś zrzec się twojej namiętności i wrócić na łono rodziny — inaczej powiem ci, że jesteś złym synem, człowiekiem bez serca, i fałszywym demokratą.

Nie będziesz zresztą pierwszym, który miłość złożył na ołtarzu obowiązku. Odczytaj początek mego *Drugiego studyjum*, a jeżeli umiesz czytać, między wierszami, przekonasz się, że i ja przechodziłem przez sercowe tortury. Ubóstwianie kobiety jest *błędem*, a poświęcenie jej wszystkich swoich obowiązków jest *występkiem*. Jednem słowem, potępiam tę miłość niby heroiczną, która nie widzi nic oprócz przedmiotu wybranego; jestto podług mnie maskowana zmysłowość, najprostsza rozpusta, kult występny.

Wiem jak bolesną jest rzeczą zwyciężać własne swe uczucia, znam ja gorycz tego kielicha; nie mniej jednak odtrącać go jest rzeczą niegodną: jest to przewinienie przeciwko sumieniu, przeciwko rodzinie, przeciw ludzkości całej.

Nie przytaczałem ci żadnych bliższych wyjaśnień i rozumowań w tym względzie; byłoby to również zbytecznie jak pisać kazania na temat prawa i obowiązku.

Od roku, jak przebywasz w Paryżu, co zrobiłeś? — Nic. Pozbawiłeś społeczeństwo pracownika użytecznego, i spustoszyłeś serce twoich rodziców. Aż dotąd gwałtowność twego uczucia usprawiedliwiała cię; obecnie usprawiedliwianie zaczyna się zużywać. Pozostaje teraz sam fakt tylko: z własnej winy, z przyczyny miłosnego twego głodu, na roli zbrakło człowieka, pracy zbrakło robotnika, miastu obywatela, dziecięciu ojca, a wkrótce naczelnika rodziny żonie i dzieciom.

Posłuchaj — znajdujesz się nad brzegiem przepaści, ponieważ jesteś bliskim śmieszności — a człowiek ośmieszony bardzo skłonnym jest do cynizmu. Winieneś więc wrócić do ojca; pod tym jedynie warunkiem, pozostanę z tobą nadal w stosunkach.

Być może, iż sąsiedzi twoi znają przyczynę twoich kłopotów; objaśnij ich więc przykładem i rozmową, zostań apostołem twego kantonu; od chwili tej staniesz się człowiekiem, i staniesz w rzędzie patryjotów. Za to ci słowem ręczę.

Może nakoniec osoba, którą kochasz, i która z przyczyny właśnie twojej zbytniej egzaltacyi porzuciła cię, może więc ona widząc cię próżnującego w Paryżu, zadowoloną jest ze swego przeniewierstwa; przyznać należy że nie bez słuszności. Dowiedź więc jej postanowieniem niezłomnem, żeś był wyższym od niej nie tylko w miłości, ale i w sile ducha, i że człowiek z nowej demokracyi umie być szczęśliwym, połączywszy się z najzwyczajniejszem stworzeniem i t. d.

Tak budujące i trzeźwe słowa dyktował przyjacielowi swemu człowiek o dezorganizacyjnej duszy.

Tyle na ten raz o Proudhonie!

Z życia towarzyskiego nie wiele mamy obecnie nowin w Paryżu. Sezon to wyścigowy. Jesień i wiosnę poświęcają paryżanie wyścigom, w których pośredni i bezpośredni udział bierze bardzo wiele osób. W tak zwanym *Agence Oller* ruch spory. Odbywa się tu gra hazardowa wyścigowa. Prywatni ludzie trzymają zakłady na grube nieraz sumy; jeden staje po stronie np. „Nestora“ drugi po stronie „Vichnon.“ Na rozległej wyścigowej arenie w *Auteuil* rozstrzygają się zakłady. Karty, ruleta i gry inne nie wystarczają ludzkim namiętnościom, potrzeba im jeszcze gier wyścigowych.

Tańce, bale, monżury, rauty, dnie fixowane niby przeminęły, ale cóż kiedy właściwie w Paryżu karnawał trwa dwanaście miesięcy. Każdy sezon odmienia w zabawach tylko charakter, nie zmieniając samej zasady bawienia się. Salony nie mniej jednak krępują zabawę drobnostkową etykietą i konwenansem, zwła-

szcza salony, po których przesuwają się ludzie *de qualité*. Nie jestto bynajmniej rzeczą łatwą mieć salon. Nie wystarcza tu metodyczne ugaszczanie herbatą; nie można tu zapomnieć o dowcipie, któryby na mleczno ją ubarwiał, albo o leciutkich ploteczkach osładzających napój chiński, i wreszcie o miłym wdzięku ułatwiającym samo wypicie. Obiady natomiast są poważnemi ucztami, lecz kosztują drogo. To też wielką jest sztuką uczynić je zbytecznemi, a natomiast ofiarować gościnność tak ujmującą, tak miłą, że gościowi zdaje się jakby spożył wiele w tem towarzystwie, w którem potrawa była raczej pokarmem wyborowo intelektualnym. Meble odgrywają tu wcale znaczną rolę; małżonek również, ale już nie tak bardzo. Należy roztropnie odnawiać pierwsze i niezapominać o odnawianiu ostatniego.

Należy być najzupełniej *au courant* nowości wszelakich i przygotować się do prezentacyj niespodzianych. Należy podziwiać wszystkie nowo-wschodzące gwiazdy, i niemi odnawiać swoję salonową konstelacyją; należy o każdym dobrze mówić, mierząc estymę swoją długością pochwał wypowiedzianych przez ogół; należy umiejętnie trzymać lejce konwersacyi, lekkiej koniecznie; należy unikać czułostkowości jak deszczu, a umieć zbudzić lekki sentyment jakby rosą poranną; należy umieć się podobać nie ściągając na siebie zbytnio uwagi obecnych; należy rozmawiać bezprzestannie nie mówiąc wiele. W salonowem życiu należy być zdrowym aby módz przyjąć zawsze, a być cierpiącym aby nie być obowiązanym odwiedzać innych i przenosić tam atmosferę swoję. Należy abdykować w obec kobiet, a mężczyzn zmuszać do abdykacyi na swoję korzyść. Należy być zawsze w jednakim humorze, ukrywać swoje cierpienia, a nie zdradzać wszystkich radości swoich. Jestto, jest praca pełna trudu i rozmaitości, wymagająca specyjalnego talentu. Każdy, kto się uprze, może przyjąć raz lub dwa razy w ciągu sezonu. Mało jest wszelako osób umiejących utrzymać salon.

Jan Paweł powiedział:

„Życie salonowe jestto śmietanka — chłodna i słodka.

Ileż to więc potrzeba sztuki wytwornej, aby nie pozwolić śmietance tej skwaśnieć, aby zachować jej słodycz, stanowiącą jej wdzięk i ów chłód, konserwujący ją doskonale. Chłodną tę i słodką śmietankę należy podawać w filiżance maleńkiej i wązkiej, która winna być właściwie podstawką tylko, ale wyrobioną z porcelany chińskiej.

MŁODOŚĆ ATEŃCZYKA.

PRZEKŁAD

B. B.

(dokończenie)

Bywało, że głosu chłopca wcale nie usłyszysz: nie śmiał on pisnąć nawet. Przez ulicę szli uczniowie do szkoły muzycznej przyzwoicie, w samej tylko koszuli wełnianej, chociażby padał śnieg jak największy. W szkole nie zakładali nogi na nogę. Przy stole niewolno było brać pierwej niż starsi czegokolwiek, nie wolno było jeść ryb, kwiczołów i zakładać nogi na nogę. Godną uwagi rzeczą jest to, że mówiący w ten sposób autor, z którym zgadza się zupełnie Arystofanes, wyprowadza stąd wniosek, że te przepisy i zasady przyzwoitego zachowania się, przygotowały zwycięzców z pod Maratonu. Młodsze zaś, współczesne Arystofanesowi pokolenie, zbezwładniało do tego stopnia, iż nie może utrzymać mocno w dłoni tarczy; nawykło do ciepłego ubrania; nauczyło się chodzić na place zgromadzeń publicznych i do łaźni; próżnuje wobec rodziców, zawiera niemoralne znajomości z tancerkami, procesuje się o pierwsze lepsze głupstwo i t. d.

Wypada jeszcze pomówić o wychowaniu właściwie muzykalnem i gimnastycznem.

Arystoteles w dziele swojem „O państwie“ mówi o celu muzyki. Należy, powiada on, uczyć się muzyki, nie dla samej przyjemności jedynie ale dla tego aby lepiej korzystać z *wczasu*, wczas bowiem według Greków jest celem życia; muzyka powinna wchodzić w zakres wychowania nie dla tego, że jest ona *konieczną*, nie dla tego, że jest pożyteczną, ale dla tego że jest zajęciem pięknem i swobodnem. Platon także powiada, że cytrzyści, tak bowiem nazywali się nauczyciele muzyki — mają staranie o to, aby młodzież nie czyniła nic złego. W ogóle należy przyznać, że w Grecyi muzyka miała nie równie szlachetniejszy, wyższy i pożyteczniejszy dla ducha kierunek aniżeli w naszych czasach. Grek uczył się muzyki, nie tylko dla tego, aby przyzwyczaić słuch do rytmu, nie dla tego tylko że w różnych wypadkach życia, byłoby mu nieprzyjemnie i nie zręcznie nie znać muzyki, ale w szczęśliwszych chwilach niepodległości greckiej, przed wojną pelopenezką uczył się Grek muzyki dla tego, aby zaszczepić w duszy własnej na całe życie zgodę i harmoniją z samym sobą i otaczającym go światem, zdrowie ducha, odwagę i męztwo.

Ten wpływ muzyki na cały naród, na moralność jego, każe nam przypuszczać w narodzie tym, taką wrażliwość na muzykę, o jakiej trudno mieć właściwe w naszych czasach pojęcie. Ręka w rękę z wykształceniem umysłowem, z muzyką, szła w Grecyi gimnastyka, czyli rozwój sił fizycznych.

Gimnastyka jest jednem z najbardziej charakterystycznych zjawisk życia Greków, jednem z takich zjawisk tego życia, które odróżniają od życia innych narodów.

Chcąc jak należy wyjaśnić znaczenie gimnastyki, należałoby dotknąć prawie wszystkich stron życia Greków. Tu jednak głównym celem naszym jest pokazać, jakie miały znaczenie w zakresie wychowania Greków, rozmaite składowe części tegoż wychowania. Stąd i co się tyczy gimnastyki musimy ograniczyć się na rysach najgłówniejszych.

Chłopcy i młodzież większą część dnia spędzali w gimnazyjach. Chłopcy biegali, skakali, borykali się z sobą; młodzieńcy zajmowali się trudniejszemi i więcej zawiłemi ćwiczeniami, rzucaniem dyska, czyli krążka kamiennego a czasem drewnianego lub żelaznego, z dziurą w środku i rzemieniem do zachwycenia; walką na kułaki i nakoniec walką pięcioraką, w skład której wchodziły: skok, rzucanie dyska, bieg, pasowanie się i kułakowanie. Nawet ludzie dorośli przyjmowali udział w ćwiczeniach gimnastycznych. W ostatnich czasach politycznego życia Aten, to jest w końcu piątego i w czwartym wieku przed Chrystusem, gimnazyja były miejscem zebrań i dla takich ludzi, którzy sami nie ćwiczyli się w gimnastyce.

W gimnazyjach to lubił przepędzać czas Sokrates, schodzili się tutaj i inni filozofowie i sofiści i zawodzili z sobą spory, które często odrywały młodzież od ćwiczeń cielesnych. Gimnazyja pozostawały pod nadzorem rządu: zawiadywał nimi honorowy urzędnik, który miał obowiązek żywienia i utrzymania tych, co do igrzysk uroczystych się ćwiczyli, a nadto zdobił on plac zapasów; oraz drugi urzędnik, mniej więcej inspektor dzisiejszy, który dozorował i zarządzał częścią dyscyplinarną.

Celem gimnastyki w Atenach było dać ciału możebną piękność, zręczność i zdrowie, aby człowiek w młodości odznaczał się energiją pełną spokoju, w wieku męzkiej dojrzałości był zdolnym do wszelkiej czynności praktycznej, i aby w starości łatwiej znosił jej brzemię.

Oprócz tego państwo, bez ćwiczeń gimnastycznych, nie mogłoby urządzać rozlicznych procesyj religijnych, do których należą nawet chóry dramatyczne. Po wojnie peloponeskiej gimnastyka zaczęła upadać.

Przyczyną tego zjawiska było to, że gimnastyka, jako instytucyja państwowa, wobec upadku życia politycznego w Atenach i w całej Grecyi, nie mogła, naturalnie, utrzymać się. Gimnastyka przytem w czasach szczęśliwych Grecyi mogła istnieć tylko przy tem poczuciu wstydliwości i skromności, jakie możebnem jest tylko wśród narodu, żyjącego w zgodzie i harmonii z naturą.

W szesnastym roku życia młody Ateńczyk kończył swoje szkolne wykształcenie. Od szesnastego do ośmnastego roku życia zajmował on się wyłącznie ćwiczeniami gimnastycznemi. W ośmnastym roku życia młodzieniec stawał się dorosłym, z rokiem tym bywał zapisany w poczet obywateli, dostawał broń i do dwudziestego roku był strażnikiem granicznym Attyki. Z dojściem do lat dorosłych młodzieniec zyskiwał pełną swobodę; mógł on zajmować się tym, co mu się podobało. Rozumie się, że biedna młodzież musiała troszczyć się jedynie o dostarczenie sobie środków do życia; często także, rodzice zamożnych młodzieńców starali się skłonić syna do zajęć praktycznych. Większa część wszakże młodzieży ateńskiej, od lat ośmnastu, z dojściem do lat młodzieńczych oddawała się zabawom i rozrywkom różnego rodzaju, jak na przykład polowaniu, wyścigom i t. d. Inni znowu chodzili na wykłady filozofów. W pewnej komedyi rzymskiego komedyjopisarza Terencyjusza stoją obok siebie wymienione trzy rzeczy: psy, konie i filozofowie, jako ulubiona rozrywka młodzieży ateńskiej. Ulubioną także zabawą młodzi ateńskiej były walki kogutów i przepiórek.

Ustanowiło je państwo już po wojnach perskich, w celu podtrzymania w Ateńczykach poczucia męztwa i odwagi. Sławny mówca Izokrates, prawie współczesny Demostenesowi powiada, że areopag *zmuszał* ludzi zamożnych do zajmowania się końmi, ćwiczeniami

gimnastycznemi, *polowaniem przy pomocy psów i filozofiją*. Przyczyny tak dziwnego postanowienia areopagu prawdopodobnie były takie: państwo chciało skierować namiętności młodzieży ku przedmiotom, jak najmniej niebezpiecznym; a ćwiczenia gimnastyczne i wyścigi mogły nadto zjednać sławę państwu, na wypadek gdy obywatele jego odznaczyli się na igrzyskach olimpijskich lub innych, zręcznością w ćwiczeniach gimnastycznych lub na wyścigach.

Rozumie się samo przez się, że i hetery odgrywały ważną rolę w rozrywkach i zabawach młodzieży ateńskiej.

Kształcenie się miało miejsce i w wieku dojrzałym. Tu przedewszystkiem czynili zadość ciekawości i żądzy wiedzy Ateńczyków—z jednej strony pisarze dramatyczni, jako najprawdziwsi przedstawiciele sposobu myślenia swojego czasu, z drugiej zaś strony—mówcy i filozofowie.

Wpływ poezyi dramatycznej był bardzo silny; w teatrze ateńskim bywało do *trzydziestu tysięcy* słuchaczów, a przecież liczba wszystkich *obywateli* Attyki nigdy nie dosięgła tej cyfry. Sofiści—zjawisko, które mogło pojawić się tylko na gruncie ateńskim, czynili zadość i odpowiadali jak najlepiej, dziwnej ciekawości i skłonności do gadulstwa Ateńczyków.

Z upadkiem niezależności politycznej zakres początkowego nauczania zaczął się ścieśniać, wykształcenie zaś nabywane w dojrzałych latach w teatrze i od sofistów zaczęło się rozszerzać. Rozumie się że sofiści nie uczyli darmo. I tak, za całkowity kurs Arystypus filozof ze szkoły Epikura—i Izokrates sławny mówca i założyciel szkoły mówców, brali po tysiąc drachm, to jest przeszło po 1500 złotych. Bez względu przecież na tak wysoką cenę lekcyj, żądza wiedzy niektórych osobistości była tak wielką, że częstokroć całymi nocami pracowali w ogrodach lub przy młynach, aby zebrać sobie pieniądze na opłacenie lekcyj sofistów.

W końcu wypada nam dodać kilka słów o *nauce* w tem znaczeniu, jakie my przywiązujemy do tego wyrazu. W narodzie tak żywym, uczuciowym i wrażliwym, jakimi byli Grecy, naturalnie nie mogła powstać i rozwinąć się nauka w obecnem tego słowa znaczeniu.

Wszakże żądza wiedzy i potrzeba towarzyskiej spójni i dysput publicznych, zamiłowanie w rozprawianiu się słownem, dochodzące niekiedy aż do gadulstwa, te dwa charakterystyczne rysy narodu greckiego a przedewszystkiem Ateńczyków, sprzyjały powstaniu i pojawieniu się rozlicznych umiejętności, z których wiele otrzymało nawet określoną formę systemu.

KONIEC.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

MALARSTWO.

(Dokończenie)

Przysłana świeżo seryja obrazów z Monachijum, zakupiona na rzecz założonego tam Stowarzyszenia koleżeńskiej pomocy przez polskich artystów, jak z jednej strony dowodzi naszego twierdzenia co do zbawiennego wpływu rozumnej szkoły — tak z drugiej daje dużo do myślenia filozofom, pragnącym wszelkiemi siłami doszukiwać w sztuce abstrakcyjnych idei, rozczulających się nad „arystokratycznemi“ postaciami i tematami choćby zmarłego niedawno Ramberga, a piorunującemi na „karczemny“ kierunek dzisiejszych realistów w sztuce. Pomimo jednak apologii arystokratycznego malarstwa wyśpiewanej przez p. Henryka Struvego w Kłosach, — ta pogardzana „karczma“ czyli „Osteryja w Rzymie“ *A. Gierymskiego*, zajaśniała jak najdoskonalsza gwiazda na horyzoncie naszej Wystawy; i tegoż „Gra w mora“ karczemna scena także, była jednym z najlepszych obrazów, jakie kiedykolwiek oglądaliśmy na Wystawie, nie mówiąc naturalnie o Matejce i Simlerze — mistrzach innej szkoły i innego rodzaju.

Tak samo jak malarstwo religijne — wyraz prawdziwej *wiary*; tak samo alegoryja, symbolistyka, konają wraz ze średniowiecznemi przesądami, wiarą w złe i dobre duchy; w anioła i szatana. Tak samo więc „Sen kokietki“ *Schouppego*, choćby był stokroć lepiej malowany niż jest, pozostanie niezrozumianym przez dzisiejsze pokolenie — i rozczulić może chyba stare dewotki. Wszelki więc — tak pojmowany idealizm w sztuce — nie dość że jest nie na czasie — sprowadza nadto artystów z dobrej drogi, na której studyjując naturę, zamiast malowania duchów, mogliby się rzeczywiście kształcić i postępować. Co zaś do ideału w sztuce — o jakim zapewne myśli choćby p. Struve, chociaż trudno tego doczytać w rozwodnionych arystokratyzmem jego traktatach; co do idei piękna, która jest nicią Aryjadny dla estetyków, a gwiazdą trzech mędrców dla artystów; to należy nam się bliżej porozumieć z czytelnikami, choćby dla uniknienia powtarzania zasad, jakiemi kierujemy się i nadal kierować się będziemy, zdając sprawę z naszego artystycznego ruchu.

Każdemu, średnio wykształconemu człowiekowi, który nie studyjował nigdy zasad estetyki, nie myślał być artystą ani literatem, wiadomo że *celem dzieła sztuki jest wywołanie wrażenia*. Co do rodzaju tego wrażenia, estetyka uczy, że powinno ono być miłe, budujące, uszlachetniające a więc *piękne*. Z drugiej strony, niemożemy odmówić wspaniałej piękności, wrażeniom grozy, oburzenia, przestrachu, nawet zemsty, jeżeli ta jest tak groźną, olbrzymią, tytaniczną, że nerwy nasze drżą na jej wspomnienie, że włosy powstają na głowie z przestrachu i okropności. Kto wie nawet, czy większość sławnych arcydzieł, większość mistrzów, nie jest umiejętności wywołania tych właśnie wrażeń winna swą sławę. Ramy naszego sprawozdania, niepozwalają nam na szersze rozwinięcie i poparcie tej tezy przykładami z historyi sztuki. Notujemy więc przedewszystkiem, że niekoniecznie postacie obrazu powinny być idealnie piękne, ażeby wrażenie *piękna* obraz wywołał. Jeżeli zaś zwolennicy tego systemu odpowiedzą, że w takim razie, wymagamy postaci lub sytuacyi idealnie strasznej, i że ideał sztuki będzie ten sam czy Murillo „Niepokalane poczęcie“ czy Kaulbach „Bitwę Hunnów“ wymaluje, my zapytamy się tych panów nawzajem, co podziwiają w portretach Van Dycka lub Rembrandta; albo dla czego podobają im się szkice Orłowskiego; z jakiej racyi przychylnie a nawet pochlebnie odzywali się o „Studyjum“ Piwnickiego, o tym pokoju archeologa, o którym już eśmy wyżej mówili; czy nieuważają *Gryglewskiego* za półgłówka lub bezbożnika, że malując, wcale nie maluje ani strasznych ani idealnych ideałów? A pejzaże? Co tych panów zniewala dla tych obrazów? Skąd to wrażenie, jakie one sprawiają? Mała rzecz: to tylko *prawda*. Tylko prawda, natura — podchwycona, naśladowana, wybrana w swych najponętniejszych, najprawdziwszych, najcharakterystyczniejszych momentach. Tam za grosz nie ma ideału, *idealizowania* przedewszystkiem. Mistrz umiał wlać życie w tłustą twarz jakiegoś holenderskiego bürgera— i cofasz się, uchylasz czoło przed potęgą genijuszu co każe przemawiać płótnu. *Grylewski* namalował salonik w Wilanowie — i nie jesteś już panem siebie—w mgnieniu oka przeniósł cię żywcem na te meble wypłowiałe, na te posadzki, na których boisz się poślizgnąć. Jak więc, poszukiwanie *prawdy* jest zadaniem nauki, tak samo *prawda* tylko, czy to podniesiona do groźnej potęgi w postaciach Michała Anioła; czy rozpieszczona w złotowłosych główkach Greuze'a; czy uśmiechnięta rubasznie w ludowych scenach Kostrzewskiego, Kottisa, Piątkowskiego lub Chełmońskiego; czy też filozofująca w rodzajowych obrazach Horovitza—zawsze tylko ta prawda, wywoła efekt, wrażenie jakiego żąda artysta. Czy zaś mamy prawo narzucać mu drogę, jaką chce dojść do tego celu? Wątpię...

Odbiegliśmy od właściwego sprawozdania, lecz uważaliśmy ustęp ten za konieczny, przed peryjodyczną z czytelnikiem wędrówką po salach malarstwa i rzeźby; na zakończenie jeszcze, czujemy się w obowiązku dodać, że będziemy silnie protestować przeciw zarzutowi, jeżeli nas ten ze strony idealistów w sztuce spotka, jakoby takie zapatrywanie się na sztukę było niegodne jej, i sprowadzało ją do roli fotografii. Żałujemy że niemożemy dla braku miejsca, rozszerzyć się tutaj o różnicy właśnie, o przepaści dzielącej realistyczny kierunek malarstwa od fotografii; pewne jednak charakterystyczne rysy tych różnic, będziemy może jeszcze mieli sposobność skreślić w następnych „przeglądach.“

Że *Brandt Józef* jest realistą, to pewna. Że obrazy jego wywołują ogromne wrażenie, to niema kwestyi; że dziś jest pierwszym u nas *batalistą*, to przyznaje cała Europa; lecz że w szkicu „Zadymka,“ jakkolwiek malowanym z niedouwierzenia cudną łatwością i zręcznością, nie przeszedł samego siebie; że obraz ten nie jest z jego najlepszych prac, na to również musimy się zgodzić.

Kilku polonusów wśród śnieżnej, wieczornej zamieci tarasują bramę domostwa; niektórzy weszli na dachy zabudowań, walcząc jednocześnie z zadymką i jakimś niezawodnie *zajazdem* szlacheckim. Ta podwójna groza walki z nieprzyjacielem i śnieżycą robi ogromne wrażenie, jakkolwiek powtarzamy, obrazek za tanie pieniądze, taniemi więc sposobami wykonany został.

W tejże samej seryi znajdujemy *Alfreda Kowalskiego* „Miłe wspomnienia,“ malutkie arcydzieło, od którego trudno oderwać oczy. Pamiętacie pogodną jesień, kiedy słońce jeszcze całą potęgą promieni każe wam zapominać o bliskiej zimie — kiedy drzewa i krzewy nietknięte jeszcze jesiennemi boreaszami, złotem i purpurą oblane są zamiast zielenia gdzie niegdzie idąc parkiem lub aleją potrącacie żółty listek nogą, gdy inny znów kręci się w powietrzu, zanim od rodzinnej gałązki oderwany — zgnije w zimowem błocie. Parkiem idą dwie dzieweczki; jedna powraca widocznie z lekcyi muzyki dźwigając pełną tekę nut, druga pokazuje jej i z zajęciem odczytuje jakiś różowy liścik — billet doux — bez wątpienia. Biegnijcież zobaczyć tę jesień, te listki kilku dotknięciami śmiałego pędzla zrobione — to słońce które złotą barwą już i tak zżółkłą zieloność oblewa — te śmiałe dotknięcia krzyczącym chromem, tak jednak harmonijne! A dzieweczki moje, jakież to prawdziwe pensyjonarki — jakież to suknie i kapelusiki, jedną płaszczyzną, jednym rzutem pędzla namalowane a jednak nie płaskie. Kilka fałdów, falbanek, parę strychów, i artysta załatwił się z niemi. Niebieska tylko sukienka nie zbyt nam się podobała, troszkę jak to powiedzieć, za klockowata. Też same prawie zalety, prócz tej śmiałości pendzla, ma obrazek *Piątkowskiego Henryka* „U wdowy chleb gotowy.“ Ani twarze, ani ubiory, ani akcesoryja— ani temat nie ma nic idealnego — jest to typowy obrazek nowej szkoły, ale możemy powinszować panu P.; niewidzieliśmy dotąd nic tak skończonego i wystudyjowanego przezeń jak to małe cacko.

Chełmiński Jan, zrobił ogromny postęp przez tak krótki przeciąg czasu. Maluje on konie i naturalnie jest uczniem więcej zapewne Brandta jak Akademii Monachijskiej. Niepośledni to talent i szczęście dlań że wydostał się na właściwą drogę. W seryi nowo przysłanych obrazów znajdujemy jego zimowy krajobraz z końmi pędzącemi „na polowaniu.“

Kto widział *Streita* „Ostatnią krówkę“ i „Bez jutra“ lub *Maszyńskiego Julijana* „Noc przeczuwaną,“ ten nas zrozumie, gdy szczerze wyznamy, że taką tylko, to jest ludzką, społeczną tendencyją pojmujemy w obrazie, że jeżeli mamy uplastyczniać ideał — niechże on zjawi się nam pod postacią instytucyj społecznych, usuwających nędzę, wyzyskiwanie, proletaryjat i zepsucie. Tymczasem cześć tym artystom, którzy nie kończąc filozofii (patrz życiorys Ramberga w ostatnim N-rze Kłosów przez H Struvego) nie malują arystokratycznych miłostek; lecz tym którzy bolejąc nad nędzą i zacofaniem — obnażają te społeczne rany, rzucają je w twarz arystokratycznym filozofom, i zmuszają do wyszukiwania na nie lekarstwa. *Henryk Filipowicz.*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Kilka kwestyj, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków—przez L. Szczerbowicza, Wieczora. Warszawa. Nakładem Redakcyi Kroniki Rodzinnej. 1875 r. str. 117 in 12-o, cena kop. 50.

Autor tego zbiorku drobnych artykułów jest jednym z najwszechstronniejszych encyklopedystów naszych. Rozbierając różnorodne kwestyje: filozoficzne, społeczne, psychologiczne pedagogiczne i t. p., zręcznym dyjalektyzmem stara się zwalczyć to, do czego z całym rynsztunkiem wiedzy przystępować należy. Jednym zamachem pióra gładzi z powierzchni umysłowości ludzkiej doniosłe prawdziwie teoryje, trawestując je niekiedy w dowolny sposób. Rozrobiwszy drobne myślątka swoje w mdłej wodzie frazeologii, tworzy lepiankę ogólników, polemicznego po większej części nastroju.

Nie wchodzimy w szczegółowy rozbiór mniemań p. Szczerbowicza, gdyż na to ramy niniejszego przeglądu byłyby za szczupłe. Wskażemy tylko pewne rażące nielogiczności i błędy. Podnosząc polemiczny oręż przeciwko niektórym znakomitym filozofom i przyrodoznawcom europejskim, szczytne niekiedy ma o nich autor pojęcie. Oto np. na stronicy 36 czytamy następujące słowa: „Büchner, Moleschott, Darwin i Häckel stanowczo wykazują, że nigdzie, ani we wszechświecie, ani w dziejach ludzkości nie masz żadnego rozumnego celu, że wszystko i wszyscy powinni pożerać się i niszczyć nawzajem.“ Gdyby autor bliżej przypatrzył się tym *antychrystom ludzkości*, nie przypisywałby im tak okrutnych pragnień. Wielcy myśliciele nowocześni, zaznaczając w świecie zjawisk tak przyrodniczych, jak i społecznych walkę o byt, wykazują, jako główny cel postępu, uszlachetnienie tej walki. Idea krwiożerczego mordu obcą jest ich myśli. Brutalną potęgę fizycznej przemocy winny zastąpić szlachetniejsze dążności natury ludzkiej; a te, stykając się z sobą, rodzą walkę różnorodnych idei, z których najsilniejsze i najodpowiedniejsze potrzebom wieku—otrzymują palmę zwycięztwa.

Dalej p. S. rozbierając poglądy na postęp i jego cele w historyi ludzkości, nie chce przypisać wiedzy, bezwzględnego wpływu na umoralnienie społeczeństwa, a za jedyny faktyczny dowód swego twierdzenia przytacza to, że „statystyka u nas przynajmniej, jak widać z ogłaszanych w dziennikach wiadomości, wykazuje, że niektóre rodzaje przestępstw są popełniane przeważnie przez ludzi stosunkowo wykształceńszych“ (str. 27). Racyja bardzo względna. Są w samej rzeczy pewnego rodzaju przestępstwa, dla spełnienia których potrzeba pewnej inteligencyi, a stąd tylko w oświeceńszych sferach są rozpowszechnione; ale to nie dowodzi bynajmniej twierdzenia autora. Każdy, kto zechce przypatrzyć się z bliska różnym warstwom społecznym, łatwo dostrzedz może zbawienny wpływ oświaty na uszlachetnienie stosunków życiowych; każdy, kto pilniej wczytuje się w księgi statystyczne, dostrzeże, że największa ilość zbrodni szuka przytułku w kretowiskach umysłowej ciemnoty.

Niekiedy autor w polemicznym zapędzie stacza nawet dziwną *walkę z wiatrakami*. Oto np. rozbierając kwestyję kobiecą i słusznie zresztą powstając przeciwko deklamatorskim ogólnikom i teoryjkom, dziwne następnie stawia zarzuty zwolennikom rozsądnej emancypacyi u nas. Wmawia w nich np., że pragną zupełnej asymilacyi w sposobie wychowania i wykształcenia obojga płci, bez uwagi na odrębność sił duchowych i fizycznych. Nie, łaskawy panie, nikt trzeźwo myślący, w podobny sposób sądzić nie będzie, i z podobnymi poglądami nie spotkaliśmy się dotąd w piśmiennictwie naszem. Pragniemy tylko, aby przed duszą kobiety nie zakrywano ożywczych i uszlachetniających promieni wiedzy, zarówno dla niej; jak i dla uprzywilejowanej połowy rodu ludzkiego dostępnej, aby nie wzbraniano przyłożyć dłoni do pracy, do której sił jej nie braknie.

Następnie, wykazując zdanie zwolenników emancypacyi, że należy przygotować kobiety do życia w ten sposób, aby nie potrzebowały *oglądać się na małżeństwo*, upatruje w niem autor pewne niskie *antymatrymonijalne pobudki*, jakąś „ukrytą niechęć do instytucyi rodziny“ (str. 84). Wreszcie p. S. stanowczo utrzymuje, że niezbędną jest *pewna zależność kobiet*. Racyja dosyć względna. W samej rzeczy, wszelka zależność jednostek, o ile wypływa z praw życia społecznego i indywidualnego, wzajemnych stosunków i obowiązków, jest rzeczą konieczną. W zupełności jednakże nie zgadzamy się na mniemanie autora, że „ według najbezstronniejszego i najpozytywniejszego (!) zdania, nie tylko różnice fizyjologiczne i psychologiczne, które zachodzą pomiędzy kobietą i mężczyzną, nie tylko wyraźne prawa Boskie, ale naturalne podstawy rodziny i powszechny głos ludzkości, wiekowem doświadczeniem stwierdzony (!), przemawiają na korzyść tej zależności.“ (str. 80 i 81).

W pedagogice, powstając przeciwko pewnym „błędnym nowościom w wychowaniu,“ wykazuje autor między innemi przesadne wyobrażenie nowych doktrynerów o godności człowieka, a w skutek tego i o godności dziecka, którą, podług ich zdania, szanować należy. Autor utrzymuje, że „ta godność nie jest czemś odrębnem od nabywanego przez wychowanie wykształcenia, od rozwijanych i nabywanych pojęć i uczuć“ (str. 98). W ogóle p. S. jak w wielu miejscach, tak i tu jest lichym psychologiem i pedagogiem. Nie pojął on jeszcze tej kardynalnej zasady, że jedynie silne rozbudzenie w dziecku poczucia godności ludzkiej, może zrodzić w niem prawdziwie szlachetną duszę. Ażeby roztlić to uczucie, należy niczem go nie obrażać i nie poniżać.

Z przytoczonych wyjątków widzimy, że prace p. S. są to jedynie zlepki frazeologii, nie zawsze oparte na gruntownej wiedzy, a mające mimo to pretensyją do zwalania ścisłych prawd, lub śmiałych i genijalnych hypotez nowoczesnych.

A. Pilecki.

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

ŚLADY ŻYCIA.

XVIII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Towarzystwo muzyczne ożywia się powoli. Nowy dyrektor rozwija energicznie swą działalność. Pochwalamy mu szczególniej, że powołuje do życia młode siły artystyczne. Po pannie *Maryi Płużańskiej*, w przyszłą Środę ma podobno debiutować wkrótce młoda amatorka

p. *Wanda Zdziarska*, uczennica p. *Quatriniego*. P. Z. ma posiadać głos dźwięczny bardzo i niepoślednie podobno na przyszłość rokuje nadzieje. Zobaczymy, czy pierwsza próba potwierdzi prywatne zdanie znawców. W każdym razie *Szczęść Boże!*

Felijetonista nasz zwrócił na siebie niesłuszny zarzut, jakoby w N-rze 14-m pisma naszego, przedstawiał z ujemnej strony działalność *Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności*. Otóż donosi on osobom interesowanym, iż kreśląc fakt autentyczny, nie miał bynajmniej na myśli tej pożytecznej instytucyi.

Zakład hydroteraupetyczny D-ra Bielińskiego w Nowem Mieście, szybko się rozwija tak pod względem staranności urządzenia, jak i pod względem poparcia ogółu. Z ogłoszonego sprawozdania widzimy, że w ciągu ubiegłych siedmiu miesięcy, od dnia 1 czerwca do 31 grudnia, przybyło do tego zakładu 151 osób leczących się. Z liczby tej 63 powróciło do zupełnego zdrowia, 61 zaś opuściło zakład przy znacznem jego polepszeniu. Szczególniej spora ilość cierpiących na choroby nerwowe, winna jest zakładowi D-ra Bielińskiego szybki powrót do zdrowia.

Słysząc wiele o szlachetnej agitacyi, jaką w ostatnich czasach rozwinęło lepiej myślące grono członków *stowarzyszenia subjektów handlowych*, żywimy niepłonną nadzieję, że zbliżające się ogólne zgromadzenie pomyśli o radykalnem zreformowaniu tej instytucyi. Przedewszystkiem, szanowni panowie, zrozumiecie zapewne konieczność usunięcia istniejącej dotąd kastowości. Niechaj zmiana ustawy przełamie te mury chińskie, które postawiła dla chrześcijańskich współbraci! Słyszeliśmy już nawet, że dobrze myślący agitatorzy mają tę sprawę na pieczy.

P. S. Dowiadujemy się w tej chwili, że sprawa ta z wielu innemi pożytecznemi bardzo wnioskami została przyjętą.

Jednym z najwybitniejszych dowodów pocieszającego dosyć rozwoju w sferze umysłowości na partykularzu naszym, są zakładane tam od niedawna *czytelnie prywatne*. W krótkim czasie zyskują one sporą liczbę książek, a chociaż z drugiej strony niezbyt wielu czytelników z nich korzysta, jednakże i tu zapewne przełamią się pierwsze lody obojętności... Założona niedawno w małem miasteczku *Płońsku*, w gubernii Płockiej czytelnia, w przeciągu krótkiego bardzo czasu zebrała do 600 tomów poważnej dosyć treści. Fakt to bardzo pocieszający. Tylko, szanowni panowie, abyście byli równie skorzy do czytania, jak do obfitej daniny z biblijotek waszych.

Autor „Maryi" nadaremnie oczekuje należnego hołdu. Właściciel domu, gdzie żył, pisał i cierpiał zapomniany przez niewdzięczne społeczeństwo poeta, obiecał umieścić na frontonie popiersie jego. Ale obietnica pozostała niespełnioną. Dom, odświeżony jak cacko, przeszedł w inne ręce, i sprawa na niczem się skończyła.

Notując zawsze chętnie wszelkie objawy postępu naszych zakładów wychowawczych dotyczące, musimy dziś wspomnieć o pensyi prywatnej żeńskiej p. Smolikowskiej, który to zakład, dzięki zabiegliwości przełożonej bezustannie się rozwija. Obecnie urządzono w nim salę gimnastyczną, co dobrze musi wpłynąć na zdrowie uczennic, a nadto zamieszcza kilka nowych ulepszeń w samym programie nauk, z godnie z dzisiejszemi wymaganiami. Mianowicie ma być wprowadzona obowiązkowo nauka gospodarstwa domowego, o potrzebie której niejednokrotnie pisaliśmy, — a wykładami temi ma się zająć p. Lucyna Ćwierciakiewiczowa znana z chlubnej działalności na tem polu.

Nadto dowiadujemy się że dział przyrodniczy ma być wzmocniony — tak ażeby i niższych klas uczennice, nabyć mogły najprzystępniejszych wiadomości o świecie — co również ze wszech miar na uznanie zasługuje.

Spółka wydawnicza zjednoczonych księgarzy niezasypia sprawy i dobrze się wywiązuje z zadania. Świeżo wydane trzy zeszyty dzieł Szekspira w przekładzie St. Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Ulricha, zalecają to wydawnictwo i przystępnością ceny (30 kop. za zeszyt z drzeworytami) i wartością przekładów. Zauważyliśmy tylko pewne zaniedbanie stylowe w przedmowach i brak jednostajnej korekty, co w tego rodzaju wydawnictwie niepowinno mieć miejsca.

Z wydawnictw tejże spółki polecamy nadto czytelnikom naszym dzieła Biblijoteki Międzynarodowej a mianowicie Aleksandra Baina: *Umysł* i *ciało* — Stewarta: *Zasada zachowania energii* (właściwie powinno być: *siły*) Bagehota: O *początkach narodów* i Schmidta: *Nauka o pochodzeniu gatunków*.

W Kaliszu ma wychodzić nowe pismo p. n. „Prosna." Pomimo całej sympatyi jaką żywimy dla członków przyszłej redakcyi, niesądzimy jednakże, ażeby tego rodzaju rozdzielanie sił wyszło piśmiennictwu na dobre. Wychodzący już tamże *Kaliszanin* i tak ma dużo przeszkód do zwalczenia, a trzeba przyznać że dzięki p. Miłkowskiemu, pismo to podniosło się znacznie i prowadzone jest z całą starannością. Radzibyśmy widzieć jak najwięcej pism prowincyjonalnych, ale dziś potrzebniejszem by było wytworzenie organów dla innych miast gubernijalnych jak np. Płocka, aniżeli tworzenie nowych tam gdzie już jeden istnieje. Jeżeli, jak powiadają, pobudką do nowego wydawnictwa jest głównie słabe uwzględnianie w Kaliszaninie spraw czysto miejscowych, to okoliczność ta powinna wpłynąć na wzmocnienie tego działu w *Kaliszaninie*, a naszem zdaniem trochę więcej śmiałości w tym względzie, wcaleby pismu niezaszkodziło. Wspominał już o tem p. Jeleński w sprawozdaniu które „*Niwa*" zamieszcza, a o którem *Kaliszanin* prawdopodobnie w skutek tej właśnie obawy draźnienia pewnych żywiołów, niewiele dotychczas wspominał.

Projektowany zjazd przyrodników w Warszawie nie przyjdzie w tym roku do skutku, *dla braku czasu*, jak objaśniają niektóre gazety — ale za to takiż zjazd odbędzie się we Lwowie od 20—24 lipca; pragnący wziąć w nim udział zechcą zgłosić się do przewodniczącego w wydziale gospodarczym, D-ra Noskiewicza we Lwowie.

Gazeta Handlowa i *Kuryjer Codzienny*, podniosły znowu kwestyją Towarzystw kredytowych ziemskich, któreby przychodziły w pomoc właścicielom większych posiadłości a tem samem przyczyniły się do wydobycia ich z rąk lichwiarzy. Niepotrzebujemy dodawać, iż kwestyją tę uważamy za nader ważną, ponieważ mówiliśmy o tem oddawna w kilku artykułach wstępnych. Jesteśmy za zdaniem Kuryjera, że nawet krótko-terminowe pożyczki, przyniosłyby rolnictwu naszemu niemałą korzyść. Przy tej sposobności wzmiankujemy, iż w Kaliszu zajmują się obecnie rozpatrzeniem projektu Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, którego ustawę wypracował p. Teodor Esse.

Nieraz pisano już o niedogodnościach wynikających z przepisów jakie obowiązują dotychczas osoby odbierające listy z pieniędzmi. Szczególnie odbiór zagranicznych posyłek jest dziś tak utrudniony, iż jak utrzymywał jeden z korespondentów „Wieku", byłby wolał zrzec się pieniędzy, gdyby biedny wiedział że tyle będzie miał z odbiorem ich kłopotu. Otóż dla osób interesowanych przyjemna będzie wiadomość, że przynajmniej mniejsze przesyłki pieniężne mają być, na wzór zagranicy, odnoszone wprost do domu adresanta.

ROZMAITOSCI.

Nowe prawo pruskie rozwodowe ma być oparte na nowych zasadach. Rozwód jest dopuszczony pomiędzy małżonkami, ale dopiero po drugim i tylko przed dwudziestym rokiem małżeńskiego pożycia. Nie dozwalając na rozwód przed drugim rokiem pożycia, ma on na względzie, że młodzi małżonkowie niedostatecznie się jeszcze poznali. Zabrania się zaś rozwodzić małżonkom po dwudziestu latach, z uwagi, że kto taki przeciąg czasu przeżył zgodnie, ten i nadal przeżyć go może. Wolny wybór pozostawiony jest zatem w przeciągu ośmnastu lat małżeństwa. Prawodawca zapatrywał się na kwestyją tę jedynie z praktycznej życiowej strony.

* * *

— Okropna zbrodnia popełnioną została niedawno w Wiedniu. Krawiec Jan Pokorny, powiesiwszy w nieobecności swojej żony pięcioro swych dzieci, sam następnie odebrał sobie życie przez powieszenie. Jedno tylko dziecko ocalało, gdyż będąc powieszone, cokolwiek palcami od nóg dotykało ziemi. Biedna matka dostała chwilowego obłędu; gdyby nie wdanie się policyi, lud byłby rozszarpał trupa zbrodniarza.

Дозволено Цензурою.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.